

Przeciw upiorom przeszłości

Stanowisko J. Łobodowskiego w sprawie ukraińskiej, sprecyzowane w tym artykule - odpowiada poglądom zespołu „Kultury”.

Mój artykuł pt. «Między Muszalskim i Zagobą», drukowany ubiegłego lata w «Wiadomościach», podsycił i rozszerzył dyskusję toczącą się uprzednio na łamach tegoż pisma, zresztą dyskusję dość marginesową, bo ograniczoną niemal w całości do działu «Korespondencja». Tym razem jednak Jędrzej Giertych wystąpił z obszernymi uwagami, dołączył się Zbyszewski, napisali listy profesor Studnicki i Jan Tokarski. Żywo zareagowała strona ukraińska. Szereg czasopism, wychodzących w Europie i Ameryce, ogłosił przekład mojej pracy w całości lub obszernych wyciągach, zaopatrując je w komentarze; zasadniczo odpowiedziało paryskie «Ukraińskie Słowo». Wreszcie otrzymałem sporo prywatnych listów, przeważnie od osób mi nieznanych.

Niektórzy korespondenci zwrócili uwagę, że artykuł mój był prawie w całości polemiczny, natomiast zabrakło w nim konkretnego programu ugody polsko-ukraińskiej. «Bo przecież - słusznie pisze jeden z nich - praktycznie biorąc, cała sprawa sprowadza się do pogranicznych ziem spornych. Gdyby któraś ze stron zrezygnowała na rzecz drugiej ze Lwowa, nic nie stało by porozumieniu na przeszkodzie. Ci z Polaków, którzy usiłują udowodnić, że Ukraina powstać nie może, a gdyby nawet powstała, nie utrzyma się pod naporem Rosji, bardziej wpatrują się w Lwów i Tarnopol, niż w Kijów i Połtawę. Ukraińcy znów wszystkie problemy, łączące się z Polską, rozpatrują w skali: Zbrucz-San. Skoro ustępstwo którejkolwiek ze stron wydaje się, przynajmniej w chwili obecnej, niemożliwe, pisanie na ten temat ma sens tylko wtedy, gdy autor widzi i proponuje trzecie rozwiązanie i to bardzo konkretnie sprecyzowane. Cała reszta, włącznie ze szlachetnym wzywaniem do nieprzelewania krwi w bratobójczych walkach, nosi charakter zdecydowanie utopijny i z politycznego punktu widzenia obojętny».

Jest w takim sformułowaniu sporo racji. ale nie całkowita. Myślę, że nawet w wypadku nie znalezienia trzeciego rozwiązania, wzajemne rozmowy i rozładowywanie sąsiedzkiej nienawiści nie stanowią utopii i mogą okazać się pożyteczne. Nie znaczy to jednak, abym innych możliwości nie widział. Zanim dojdę do sedna zagadnienia, trzeba podsumować dotychczasową dyskusję i odeprzeć wysunięte zarzuty. Nawet marginesowa polemika miewa niekiedy swą pozytywną

podszewkę. Gdy się kompromituje fałszywą argumentację, przyczepioną do niesłusznej i szkodliwej tezy, również i sama teza zaczyna chwiać się w oczach czytelnika. Teren, na którym odbywają się nieliczne spotkania polsko-ukraińskie, jest tak najeżony kolczastymi zaskakami, przekopany wilczymi dołami, zaśmiecony wzajemnymi uprzedzeniami i podejrzeniami, przesiąknięty stęchłą wodą anachronicznych opinii, że trzeba go choćby częściowo oczyścić i zdrenować, bo inaczej zagubimy się w nim bez ratunku. Oczywiście, po obydwu stronach barykady są ludzie, którym już nic nie pomoże. Jedni zawsze oświadczą: «Ty sobie gadaj, co chcesz, a ja wiem, że Ukraińcy to czarnopodniebienne gady!» - a inni odpowiedzą: «Lach, Żyd i sobaka - wira odinaka».

Zatem spróbujmy raz jeszcze podsumować zarzuty, z różnych stron pod moim adresem wysunięte i cierpliwie na nie odpowiedzieć, choć w wielu wypadkach należało by ich autorów odesłać do szkółki, by trochę posłęczeli nad logiką, historią, a nawet nad podręcznikiem elementarnej geografii. Innym znowu - to przeważnie tym, co najgłośniej krzyczą o katolicyzmie i moralności, przydałby się i katechizm.

STUDNICKI - PIERWSZY

Zacznę od profesora Studnickiego. Z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy. Powołując się na moje własne wyznanie, że czytałem jego artykuł z uczuciem «oburzenia i wściekłości», profesor w liście do «Wiadomości» przygważdża mnie spokojnie i lakonicznie: «Te stany uczuciowe nie pozwoliły mi ocenić mych zasadniczych twierdzeń, opartych na obiektywnych danych... » Inaczej mówiąc - wpadł we wściekłość, o logicznym rozumowaniu nie ma mowy. Opowiem tu autentyczną anegdotę, dotyczącą znakomitego pisarza hiszpańskiego, Miguela Unamuno. Był on wielkim śpiochem, co mu zresztą nie przeszkadzało w bardzo intensywnej pracy. «Don Miguel - zagadnął go kiedyś na wszechnicy w Salamance pewien młody żartowniś, - czy to prawda, że pan przesypia po kilkanaście godzin na dobę?» «Tak, to prawda - odparł żywo Unamuno ale pamiętaj, młodzieńcze, że ja nawet we śnie bywam czujniejszy niż ty na jawie!» Trawestując powiedzenie znakomitego Hiszpana, mógłbym i ja oświadczyć przy nadarzającej się okazji: «Tak jest, często daję się ponieść uczuciom oburzenia i wściekłości, ale nawet wówczas, gdy wpadam we wściekłość, lepiej panuję nad moimi argumentami, niż pan profesor nad swoimi na spokojno».

«Zasadnicze twierdzenia, oparte na obiektywnych danych». Badajmyż te twierdzenia, a może czegoś się nauczymy. Pan profesor operuje zarówno czasem teraźniejszym jak przeszłym. Czas teraźniejszy mówi mi, że «Ukraińcy na terytorium Ukrainy stanowią mniejszość». Na jakich «obiektywnych danych», na jakich statystykach Studnicki się oparł, nie wiemy. Nie cytuje żadnego źródła i słusznie, bo nawet praca Stanisława Skrzypka, ostrożna i solidna, choć miejscami zbyt daleko idąca, nie wypadłaby po jego myśli. Więc po prostu «obiektywne dane», bez bliższych, najwidoczniej zbędnych, wyjaśnień.

Czas przeszły powiada mu znowu, że na Ukrainie «nigdy nie było woli niepodległości». Cytuje Hruszewskiego, a z cytowanego tekstu wynika, że «żołnierze pochodzenia ukraińskiego rozjeżdżali się do domów» i o niepodległość Ukrainy walczyć nie chcieli. To samo w wieku XIX-tym. «Kulisz był politycznie Rosjaninem». Zatrzymajmy się nad sprawą Kulisza, bo tu, jak na dłoni, cały profesor Studnicki. Zresztą on sam tego chciał, jak ów bohater molierowskiej komedii, albo fredrowski szambelan z «Pana Jowialskiego».

«Pan Łobodowski - pisze Studnicki - oburza się, że nazwałem Kulisza i Kostomarowa Rosjanami. Pisze, że Kulisz należał do starego rodu ukraińskiego i że pisał wiersze ukraińskie. Wierszy tych nie znam, lecz znam i cytowałem memoriał Kulisza, zalecający środki rusyfikacyjne na Litwie». A więc nareszcie coś konkretnego. Studnicki «wierszy Kulisza n i e z n a». Niech się czytelnik wczuje w te słowa. «Wierzy Kulisza nie zna» natomiast «zna jego memoriał» antypolski. Wielkim poetom zdarzało się pisywać różne memoriały i nie według nich przywykliśmy oceniać ich rolę we własnym narodzie. Wyobraźmy sobie, że jakiś cudzoziemiec insynuuje sfałszowany wizerunek Mickiewicza, a gdy mu się wskaże na «Dziady», «Konrada Wallenroda», «Pana Tadeusza», odpowie z czarującą s t u d n i c k ą dezynwolturą: «Wierszy Mickiewicza nie znam, natomiast znam taki a taki artykuł z «Trybuny Ludów».

Kulisz nie miał mickiewiczowskiego geniuszu, ale w rozwoju literatury ukraińskiej i myśli politycznej odegrał rolę zasadniczą. Tłumaczył Szekspira, Goethego, również pisarzy polskich z intencją zbliżenia Ukrainy do Zachodu. Był namiętnym szermierzem pojednania polsko-ukraińskiego. W książce «Malowana Hajdamaczyzna» gwałtownie zaatakował anarchiczne instynkty ukraińskiego stepu. Ujemnie oceniał kozaczyznę, przez co wszedł w konflikt z niejednym współczesnym Ukraińcem. Ostro przeciwstawiał się pisarzom, idealizującym ślepą nienawiść do Polaków. Cóż z tego wyszło? We własnym obozie spotkał się z niechęcią, po stronie polskiej, gdy zaczął działać we Lwowie z całkowitym lekceważeniem. Wtedy przecież «Rusinów» w Galicji nie brano na serio. Cóż tam Kulisz i jego dłoń wyciągnięta do Polaków! Rozgoryczony pisarz zaczął szukać porozumienia gdzie indziej. Stąd jego przejściowy flirt z Rosją. Ale i na tym się nie zatrzymał, umieszczając swe nadzieje w innym kierunku. W każdym razie, choćbyśmy najsurowiej oceniali pomyłki i złudzenia polityczne Kulisza, opinia Studnickiego nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Jeśli Kulisz w okresie swej orientacji pro-rosyjskiej był «politycznie Rosjaninem», w takim razie w latach orientacji pro-polskiej musiał być «politycznie Polakiem». Ani jedno, ani drugie. Był Ukraińcem i szukał takich rozwiązań, jakie mu w danej chwili wydawały się dla jego ojczyzny najkorzystniejsze. I czy nie wystarczy fakt, że w czasach gdy taki Hohol-Janowski stawał się Gogolem i oddawał swój geniusz w służbę literatury rosyjskiej, Kulisz pisał po ukraińsku, a przede wszystkim, że całą swą twórczość pisarską wypełniał narodową treścią ukraińską?¹ A co do pomyłek... Czy Mickiewicz w okresie ideologicznych szaleństw, poczętych

1 Polecam profesorowi Studnickiemu, a również Giertychowi, który dla odmiany widzi w Kuliszu „tajemniczą postać” i wielką figurę międzynarodowej masonerii, moje obszerne studium o pisarzu ukraińskim, drukowane w miesięczniku „Problemy Europy Wschodniej”, Styczeń, 1939. Tam znajdują wszystkie interesujące ich szczegóły.

z towiańszczyzny, nie wyskakiwał z dziwacznymi pomysłami, które tyle krwi napsuły Krasińskiemu; a Słowackiego odstręczyły raz na zawsze od towiańczyków? Czy nie zamierzał nawrócić cara Mikołaja? A cóż powiemy o Czajkowskim? Sturczył się, więc przestał być Polakiem. Gdy zaś na starość «pokajał się» w upokarzającej formie i błagał o pozwolenie na powrót w ojczyste strony, stał się Rosjaninem? To są wolne żarty ichmościów, ani biorących pod uwagę ówczesnej sytuacji politycznej, ani umiejących wnikać w psychologię pisarzy, o których wydają arbitralne sądy.

Jeśli profesor Studnicki powróci kiedykolwiek do tego tematu, z góry zapowiadam, że nie będę z nim więcej dyskutował, jeśli uprzednio nie pofatyguje się sprawdzić, kim był Kulisz, podobnie jak nie polemizowałbym z Ukraińcem, który by wydawał lekkomyślne sądy o Mickiewiczu, oświadczając bez żenady: «Wierszy Mickiewicza nie znam».

«Patrioci ukraińscy pragnęli chwilowego zerwania z Moskwą... trwałej woli oderwania się od Rosji nie było... » - twierdzi Studnicki, pisząc o latach 1917-20. Ma rację o tyle, że istotnie pewne frakcje czy partie myślały o zachowaniu związku federacyjnego z Rosją. Ale nie wszystkie. Petlura był niepodległościowcem. Anarchiści Nestora Machna bili się tak samo z bolszewikami, jak z Denikinem i Wranglem. Ale istota rzeczy na pewno nie tkwi w tym, jaką orientację wyznawały poszczególne partie ukraińskie przed trzydziestoma przeszło laty. Dla trzeźwego polityka, który szuka właściwej drogi w stosunkach polsko-ukraińskich, najważniejsza jest terażniejszość. Nie to, czego Ukraińcy kiedykolwiek chcieli czy robili, ale czego chcą i do czego dążą w chwili obecnej. Pawło Kotowycz słusznie wskazał w swym liście do «Wiadomości», iż fakt, że sto tysięcy Ukraińców z Ukrainy Sowieckiej, którzy znaleźli się w Niemczech w charakterze dipisów, zorganizowali się w ukraińskim obozie niepodległościowym, jest bardziej wymowny niż dziesiątki pseudohistorycznych spekulacji. Ktoś powie: «To są po prostu ludzie, nie chcący wracać pod sowieckie panowanie, wrogowie Stalina i jego systemu, a nie Rosji». Świetnie. Dlaczego więc nie idą do obozu Kiereńskiego, choć ich tam zapraszają czapką i papką, dlaczego nie chcą słyszeć o federacji z Rosją, dlaczego psują krew rosyjskim «jedino-niedielimowcam»?

«Pan Łobodowski nie rozumie zasadniczego antagonizmu polsko-ukraińskiego. Ten antagonizm ma podstawy bardzo realne, sprawę Małopolski Wschodniej. Czym jest historia Ukrainy tak jak ją ujmują Ukraińcy? Historią rzezi Polaków, walk polsko-ukraińskich. Bohaterami jej są Gonta i Bandera». Trudno w kilkunastu słowach zmieścić więcej nonsensów i fałszów historycznych. Spór polsko-ukraiński nie zaczął się od Małopolski Wschodniej. To raz. Rzezie Polaków przez Ukraińców nie wyczerpują dziejów tego sporu ani w pracach historyków naszych ani ukraińskich. Poza tym ten medal miał odwrotną stronę, gdyż rzezie były wzajemne. Nie wiem, czy profesor Studnicki słyszał o krwawej pacyfikacji «prewencyjnej» na Wołyniu, tuż przed pierwszym rozbiorem, pacyfikacji niczym przez chłopów wołyńskich nie sprowokowanej. Mam na to koronnego świadka w osobie króla Stanisława Augusta, który gorzko skarżył się na samowolę szlachty, na własną rękę przeprowadzającej masowe egzekucje Bogu ducha winnych chłopów.

Pisałem już o Kuliszu, że w swych pracach historycznych stanowczo potępia cały ruch hajdamacki wraz z Gontą. A co do Bandery... No, nie wszyscy Ukraińcy uważają go za bohatera. Niech by pan profesor pofatygował się i poczytał sobie, co o Banderze piszą na przykład melnykowcy, ci sami, z których Studnicki już kiedyś w polemice, toczącej się na łamach «Lwowa i Wilna» zrobił mielgunców, za jednym pociągnięciem pióra mianując nacjonalistą ukraińskim jednego z szefów. «Sojuz bor'by za swabodu Rassiji». He, he... jeśli Kulisz był Rosjaninem, dlaczego Mielgunow nie ma być Ukraińcem? Tak to się panu profesorowi beztrząsco mylą nazwiska, sprawy i fakty.

Natomiast o walkach ukraińsko-rosyjskich Studnicki woli nie wspominać. Nawet, gdy chodzi o walki, w których malinowy sztandar kozacki szedł obok złotego sztandaru polskiej Korony. Nie mówi, jakiego zerwania z Rosją chciał hetman Mazepa, «chwilowego» czy «po wieczne czasy». Żadnych rewelacji na temat stosunku Szewczenki do «Małopolski Wschodniej» nie ogłasza. Symona Petlury indygenatem rosyjskim nie obdarza. Szkoda! Bo gdyby przypomniał sobie, że jednak istnieli Konaszewicze, Kisiele i Niemiryce, a w bliższej przeszłości inni Ukraińcy, którzy pragnęli porozumienia z Polakami, może by nie napisał, że wszystko sprowadzało się do «rzezi». I gdyby mnie po przeczytaniu tej haniebnej bzdury nie dławiał wstyd za Studnickiego, gdyby nie to, że nie chcę obrażać ani tych Polaków, którzy dalecy są od podobnego stanowiska, ani tych Ukraińców, którzy portretu Gonty nad łóżkiem nie wieszają, miałbym prawo powiedzieć wszystkim upiorom bratobójczej przeszłości: «Rzeź Polaków? Tak! Bo macie Ukraińców właśnie takich, jakimi chcecie ich mieć!»

Najzabawniejsze, że pisząc w roku Pańskim 1951 o ziemiach, będących przedmiotem sporu, Studnicki sięga do argumentów niemal typu biologicznego. «Małopolska Wschodnia była krajem rolniczo przeludnionym. Walka o ziemię była ważnym elementem». Była przeludniona... Ale teraz chyba już nie jest. Jeden ważny element ubył. Może więc zacniemy używać argumentów, nieco mniej pachnących niemieckim «Blut und Boden», byśmy się zaś nie wykierowali na drogi raczej niespodziewane.

Profesor Studnicki jest człowiekiem starym i ma za sobą niejedną piękną kartę polityczną i pisarską. Ale sprawa, o którą toczy się spór, to nie fraszka. Zbyt wiele krwi lepi się nam na rękach, abyśmy tracili czas na wzajemnych reweransach, podczas gdy nieodpowiedzialni ludzie przygotowują grunt pod nową, być może, jeszcze straszniejszą walkę. Więc powiem Studnickiemu twardo: zarówno on, jak inni, którzy dmą w miechy przy ogniu polsko-ukraińskiej nienawiści, będą współodpowiedzialni za tę krew, która się jeszcze w przyszłości poleje. I lepiej nie zapisywać ostatnich rozdziałów długiej pracy publicystycznej słowami, które poczęła ślepa niechęć, a trzymała do chrztu zarozumiała ignorancja.

Pozostaje mi tylko zapewnić pana profesora, że nie poczułem się dotknięty jego lekceważącym zwrotem końcowym, w którym odmawia mi, jako poecie, prawa do szukania leków na konflikty historyczne. Ale przypomnę mu jego własne słowa, jakimi uważał za możliwe podsumować swe

wspomnienia sprzed dnia wojny, drukowane w 1947 roku w «Wiadomościach». Oto po omówieniu tego, co by się stało, lub stać mogło, gdyby armia polska uderzyła wraz z Niemcami na Rosję, Studnicki dodał: «Po zwycięstwie na Wschodzie nastąpić by musiał kompromisowy pokój na Zachodzie. Rosja bolszewicka zwyciężona. Europa sfederowana». Postawić takie twierdzenie w roku 1939 mógł człowiek nie orientujący się, czym jest bestia hitlerowska; powrócić do niego w osiem lat później - jedynie ktoś, dla kogo doświadczenia historyczne nie mają żadnej wartości, jeśli nie potwierdzają jego własnej tezy. A jeśli nie potwierdziły, tym gorzej dla tych doświadczeń. Czy więc na podstawie podobnego oświadczenia, wydrukowanego czarno na białym w dwa lata po zagaśnięciu ostatniego pieca krematoryjnego, nie mógłbym, chociaż tylko poeta, zarzucić profesorowi Studnickiemu właśnie... «poetyzowania»?

Być może, że - jak pisze pan profesor - nigdy «nie znajdę lekarstwa» na «zasadnicze prawo biologiczne», jakim jest «walka o ziemię», w danym wypadku o Ziemię Czerwieńską. Pozostanie mi pociecha, że go szukałem. Natomiast profesor Studnicki chce nam sprzedać truciznę, blekot polityczny, szaleją nienawiści, odwieczną, dobrze znaną otrutę w pseudo-historiozoficznym opakowaniu. Jego list, który obecnie kwituję, przekonał mnie o jednym: że po przeczytaniu mego artykułu, bądź co bądź dostatecznie nabitego argumentami i faktami historycznymi, dowiedział się tylko tego, jak się poprawnie pisze nazwisko Bandery. To wiele. Pogratulować!

Z KOLEI - GIERTYCH

Jędrzej Giertych odpowiedział mi nie krótkim listem, jak profesor Studnicki, ale obszernym artykułem. Okazuje się jednak, że miejsca było za mało. «Aby odeprzeć skutecznie - pisze Giertych - zbiorową proukraińską sugestię - a więc nprz. aby odpowiedzieć p. Józefowi Łobodowskiemu - nie wystarczy artykuł, lecz potrzebna jest właściwie książka. Niestety jednak, na książkę w sprawie ukraińskiej Giertych «zdobyć się w tej chwili nie jest w stanie». Ha, trudno! Oczekując z niecierpliwością, aż publicystyka polska wzbogaci się o nowe dzieło, poprzestańmy na razie na artykule.

Giertych zaczyna od oświadczenia, że «zabierając czasem głos w sprawie ukraińskiej, występuje nie tyle przeciw Ukraińcom, ile przeciw polskiemu obozowi proukraińskiemu». Mówi, że nie ma nic przeciw powstaniu niepodległej Ukrainy, byle by polscy ukrainofile nie angażowali żywych sił narodu w tej sprawie, która jest sprawą «nie tylko cudzą, lecz i niedwuznacznie wrogą». Inaczej mówiąc, Ukraińcy mogą spać spokojnie - ze strony Giertycha nic im nie grozi. Kogo chce zniszczyć - to właśnie nas, niepoprawnych, niczego nie rozumiejących, dążących do samobójstwa narodowego, zwariowanych «ukraińców». «Trwoniliśmy już siły - powiada Giertych na budowanie Ukrainy wielokrotnie. Owo budowanie zawsze kosztowało nas wiele, a czasem, wręcz groziło nam katastrofą, lub wręcz katastrofę na nas sprowadzało. Oby nie sprowadziło na nas nowych katastrof w przyszłości!» Po czym omawia plusy i minusy, jakie w jego pojęciu miałyby z polskiego punktu

widzenia niepodległa Ukraina, i dochodzi do kategorycznego wniosku, że minusy stanowczo przeważają.

Zdawało by się, to powinno wystarczyć. I nawet stanowisko Giertycha, choć w moim przekonaniu całkowicie błędne, należało by uszanować. Uważa, że powstanie niepodległej Ukrainy stanowić będzie poważne niebezpieczeństwo dla Polski, a że polska koszula bliższa ciała niż ukraińskie hajdawery, więc dbajmy przede wszystkim o koszulę. Punctum. Nie ma o czym gadać. Ale nie - to dla Giertycha za mało. Chce mieć czyste sumienie i wyjść z polemiki w godowej szacie niepokalanego anioła. Więc swój ściśle polityczny wywód podbudowuje rozważaniami natury historycznej, kulturotwórczej, nawet lingwistycznej, by ostatecznie oświadczyć, że naród ukraiński w gruncie rzeczy nie istnieje i prawa do niepodległości nie posiada.

I tu zaczyna się zwykły mętnik, stawanie na głowie, szastanie faktami historycznymi w najbardziej bezceremonialny sposób, reprezentacyjny popis ignorancji, a także wyraźnie złą wolą nacechowane fałszowanie wydarzeń z najbliższej, a więc bardzo łatwo sprawdzalnej przeszłości.

Pisze Giertych, że między dwoma ośrodkami narodowego ruchu ukraińskiego - na Zadnieprzu i na Ziemi Czerwieńskiej - ruch ten albo w ogóle nie istnieje albo jest «niezmiernie nikłą roślinką». Między Lwowem i Kijowem rozpościera się «etnograficzna mgławica, wśród której proklamują przynależność do tego narodu tylko doktrynerzy, podobni do naszego Floriana Ceynowy, który głosił ideę kaszubskiej odrębności narodowej». A naród «nie może składać się z kilku luźnych ośrodków, przedzielonych» ową m g ł a w i c ą. Zaiste, rewelacyjna teoria! Przypuśćmy, że istotnie poza «kilku luźnymi ośrodkami» na wschód od Bugu i Zbrucza - bo Ukraińcom halickim Giertych świadomości narodowej łaskawie nie odmawia - rozciąga się ziemia niczyja pod względem narodowościowym. Ale wszędzie na tej «ziemi niczyjej» mówi się tym samym językiem, śpiewa się te same pieśni, czyta się tych samych pisarzy, tańczy się te same tańce. «Doktrynerów» coraz więcej i wcale żwawo sobie poczynających. W «mgławicy» odbywa się ciągły ruch. Nasz specjalista od narodowej astronomii i kosmologii powinien wiedzieć że z takiej «mgławicy» musi prędzej czy później wyłonić się jakaś planeta, kometa choćby. Niestety, muszę Giertycha rozczarować. Zapomniał on w swoim historiozoficznym ferworze że nprz. Wołyń już przed wojną szybko nadrabiał swe opóźnieni w świadomości narodowej w stosunku do Ziemi Czerwieńskiej. Krwawy pług wojny przeorał go do głębi i przyspieszył ten proces. Chłop wołyński masowo szedł do szeregów UPA-y, która była zbrojnym ramieniem obozu niepodległościowego. To samo działo się na sąsiednim Podolu, a nawet - horrible dictu, do czego dożyliśmy! - na Polesiu! Giertych opisuje z rozrzewnieniem swoje wycieczki kajakiem po Łużycach. Ja też jeździłem kajakiem, ale po Styrze, Horyniu i Prypeci. Bywa tam i Giertych, ale nigdy go nie spotkałem. Natomiast często spotykałem różnych Grzesiów, kubek w kubek, jak z giertychowej powieści, i wiem, jak niewiele ze swych kresowych wycieczek wynosili. Zapewniam Giertycha, że dzisiejszy Wołyń do jego mgławicowej teorii już nie pasuje. Mgławica kurczy się, coraz liczniejszy zastęp «doktrynerów» i to nie takich, jak poczciwy Ceynowa, ale takich, którzy w razie potrzeby strzelają. Ejże, panie

Onufry herbu Wczele, czy to waszności nie przerywa słodkich snów o «etnograficznej mgławicy»?

Giertych raz jeszcze rozwija tezę, że w latach 1917-20 narodu ukraińskiego nie było. «Była partia polityczna - jeden z prądów politycznych na Ukrainie, i to wcale nie najsilniejszy». Giertych nie rozumie mechaniki rewolucji społecznej, która nastąpiła na Ukrainie jednocześnie ze zrywem niepodległościowym. Zawsze w takich okolicznościach następuje zatarcie ostrych linii, zamęt ideologiczny, rozbitcie, a przynajmniej osłabienie ośrodków krystalizacyjnych. Przypomnijmy czasy napoleońskie. Nawet narody o takiej historii i kulturze, jak niemiecki i włoski, znalazły się w stanie wrzenia na poły rewolucyjnego, i na żadne zwarte działanie nie zdobyły się. Czy lud wenecki bronił sztandaru Świętego Marka przed najazdem francuskim? Aby mnie nie posądzono o dobieranie wygodnych przykładów, wezmę przykład inny, właśnie najmniej mojej tezie odpowiadający: Hiszpanię. Gdyby nie bezceremonialność, z jaką Napoleon potraktował rodzinę królewską, nie bezwzględność generałów i brutalne zachowanie się żołnierzy francuskich, wypadki potoczyłyby się zapewne inaczej. Ogromną rolę odegrał kler katolicki, który widział w Napoleonie przede wszystkim wroga religii i Kościoła. A i tak spora ilość intelektualistów i tych wszystkich, którzy znajdowali się pod wpływami osiemnastowiecznego racjonalizmu, stanęła po stronie najeźdźcy, a w każdym razie «kolaborowała». Pierwsza polityczna emigracja hiszpańska, to przecież właśnie emigracja «pro-francuska». Zrobię Giertychowi przyjemność i dam jeszcze jeden przykład, na pewno bardzo miły jego sercu: zachowanie się szlachty ariańskiej i kalwińskiej podczas najazdu szwedzkiego. Wówczas, jak utrzymuje sam Giertych, działała w Polsce piąta kolumna protestancka. Więc na Ukrainie działała piąta kolumna komunistyczna. Lubię wybitnych świadków. Przed chwilą w polemice ze Studnickim powołałem się na Stanisława Augusta. Obecnie powołałam się na Lwa Trockiego. To właśnie on w przemówieniu pożegnalnym do agitatorów, po ukończeniu specjalnego kursu wyruszających na Ukrainę, by siać zamęt ideologiczny, oświadczył: «Pamiętajcie, że wpływy niepodległościowców na Ukrainie są bardzo silne. Niekiedy powinniście udawać, że jesteście petlurowcami, by tym łatwiej zdobyć zaufanie». Omawiałem kiedyś szczegółowo to przemówienie na łamach «Biuletynu Polsko-Ukraińskiego». Giertych, oczywista, go nie zna. A może... może Trocki był również... ukrainofilem?

Co bodaj najbardziej zaważyło na losach Ukrainy w owych przełomowych latach, to zjawisko «atamańszczyzny». Typu anarchistycznego, jak Nestor Machno, bolszewickiego, jak Kotowski, najczęściej zaś po prostu «tutejszego», w granicach jednego powiatu czy gminy. I w Polsce były takie tendencje, że przypomnę czerwony sztandar na wieży magistratu lubelskiego, czy ogłoszenie «republiki tarnobrzeskiej». Tyle, że inna była struktura społeczna, inne okoliczności, inne tradycje, no, i różny stopień uświadomienia narodowego. Na marginesie zabawna anegdota - za republiki hiszpańskiej pewna zabita gmina andaluzyjska ogłosiła «niepodległość i suwerenność», zaznaczając w wydanym manifestie, że pragnie żyć w zgodzie i pokoju z okolicznymi, gminami i «państwami całego świata». Znowu zastanawiająca analogia, którą trzeba wziąć pod uwagę. Zjawisko dość powszechne, a jeśli je pomnożymy przez step, przez Hulaj-Pole, przez Czarny Szlak, przez

niezagasłe, czy choćby we krwi drzemiące tradycje Zaporozża, otrzymamy to, co działo się wówczas na Ukrainie.

Giertych wątpi, aby na Ukrainie było wiele ludzi, umiejących napisać list poprawną pisownią, ba, w ogóle znających język ukraiński i nie odnoszących się do niego z drwinami. Jako do lingwisty nie mam do Giertycha zaufania od czasu, gdy z poważną miną napisał, że dłuższy czas po rewolucji Rosjanie mówili z akcentem żydowskim. Sam słyszał w pociągu, gdy jeździł do Sowieców, jako urzędnik M.S.Z.-tu, zanim go brzydki Beck posłał na zieloną trawkę. Z równą racją mógłby Giertych napisać, że mówiono - ach, dusza łubeznyj, ty znajisz paczamu Tyflys samyj gławnyj gorod? - z akcentem ormiańskim. Jeśli wszystkie wiadomości, które Giertych przywoził z urzędowych wyjazdów do Rosji, były na tym samym poziomie, trzeba przyznać, że Beck słusznie ocenił jego kwalifikacje.

Ale do rzeczy. «Wolne żarty!» - wykrzykuje Giertych pod adresem tych, którzy, jak niżej podpisany, twierdzą, że nie było tak źle z literackim językiem ukraińskim w omawianym okresie. To prawda. Żarty. Bardzo kiepskie żarty. Niestety, żartownisiem jest właśnie sam Giertych. Czy słyszał on o tych wszystkich pisarzach, filologach, historykach, naukowcach ukraińskich pierwszej połowy XX-go wieku, którzy w najbardziej niesprzyjających warunkach pisali w języku ojczystym? Przecież intensywniejszy ruch artystyczny i kulturalny nie jest możliwy, jeśli nie istnieje odpowiednie środowisko i zainteresowanie. Jeśli nie istnieje odbiorca. Jakże sobie wyobrazić bujny renesans kultury ukraińskiej, począwszy od 1921 roku, gdyby nic się przedtem nie działo w samym społeczeństwie, gdyby nie było wytworzonej już uprzednio przychylnej atmosfery! Teatr, publicystyka, poeci, przekładający na język ukraiński - i jak przekładający! - największych pisarzy świata, od Greków i Rzymian poczynając - toż to nie wyskakuje jak murawa spod ziemi, na ugorze się nie rodzi, ale wymaga długiej pracy przygotowawczej. Giertych tego wszystkiego nie wie. To jeszcze nie grzech. Grzech powstaje z chwilą, gdy nie tylko wygłasza on absurdalne i krzywdzące adwersarzy sądy, ale wygłasza je ex cathedra, owinięty w togę nieomyślności.

Nie od dziś Giertych zabawia się w poprawianie rewizję historii. Już mu kiedyś Tadeusz Siuta w bardzo spokojnej i delikatnej formie wytknął całkowite nieliczenie się z rzeczywistością historyczną, oraz bezceremonialne naginanie jej do własnych tez politycznych. To w stosunku do historii Polski. Ale włosy stają dęba na głowie dopiero z chwilą, gdy Giertych «rewiduje» historię Ukrainy.

«Ukraina nie została przez Moskwę podbita, lecz w Perejasławiu dobrowolnie się pod władzę cara oddała». Hłowajskij twierdził to samo. Ale mnie w szkole uczono, że perejasławska umowa nie została dotrzymana przez żadną z umawiających się stron, że istniało pewien czas niezależne państwo pod buławą Chmielnickiego. Z polskiego punktu, widzenia tylko de facto, dla niektórych państw, jak Porta Otomańska, Chanat Krymski i Multany - również d e i u r e. Że po Perejasławiu był Hadziacz. I bitwa pod Konotopem. I Doroszenko. Że lewobrzeżna Ukraina dostała się pod

władzę Moskwy - zresztą przy zachowaniu hetmanatu - dopiero na mocy pokoju w Andruszowie. Że wreszcie opór przeciw włączeniu definitywnemu trwał odtąd kilkadziesiąt lat i to opór w wielu momentach zbrojny. Czego mnie jeszcze uczono? Że kto te sprawy ignoruje, powinien siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i głosu publicznie nie zabierać. Więc do tego dojrzałem, że na łamach poważnych czasopism emigracyjnych mamy wyklądać szkolny kurs historii?

Tak, tak... Gdyby Giertych był Turkiem, napisałby zapewne, że w końcu wieku XVII Polska była lennem tureckim, ponieważ po upadku Kamieńca komisarze Rzeczypospolitej, by zyskać na czasie, zgodzili się na coroczny okup i sułtan posłał królowi Michałowi kaftan lennika. Ale Giertych tego nie napisze, bo jest Polakiem. Historiografia turecka straciła niebyle jakie pióro.

Według Giertycha, ukraiński nacjonalizm nie ma żadnego prawa do spadku po dawnej Rusi Kijowskiej i Halickiej. To tylko «polscy ukrainofile dobudowują narodowi ukraińskiemu genealogię tysiącletnią». Czyli starym rosyjskim systemem: ukrainizm - «polskaja intriga». Ukrainofile niczego nie muszą «dobudowywać», bo Ukraińcy sami sobie dawno tę genealogię zbudowali. Kozaccy przywódcy XVII wieku mieli już jasną tego świadomość i na książąt kijowskich stale powoływali się jako na swych antenatów. Nie tylko ludzie miary Chmielnickiego i Konaszewicza-Sahajdaczego, ale i pomniejsi, typu Ostranicy czy Nalewajki, choć większość polskich dziejopisów uważa ich za ciemnych i niepiśmiennych watażków. Nprz. w «Kronice» Samijły Węłyczki można sobie teksty odpowiednich uniwersałów i «hramot» z pożytkiem przeczytać i słuszność słów swoich sprawdzić.

O poziomie wywodów Giertycha najlepiej niech zaświadczy opinia, że «wspólny między polskimi Rusinami i Rosją alfabet» jest «moskiewskiej proveniencji». Daję słowo honoru, że profesor Stanisław Horyszewski z gimnazjum Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie nie puściłby mnie z szóstej do siódmej klasy, gdybym powyższe zdanie napisał. Przecież to są czyste kpiny z historii, chronologii, elementarnej znajomości dziejów cywilizacji na Wschodzie Europy! Alfabet na Ukrainie proveniencji moskiewskiej! Musiałby Giertych przedtem udowodnić, że w Moskwie kwitły nauki, gdy na miejscu przyszłego Kijowa był pusty majdan, że kultura szła znad Kłajmy nad Dniepr, a nie odwrotnie. Jakim alfabetem posługiwał się Jarosław Mądry? Jakim - poza łaciną - posługiwano się w akademiach kijowskich? Jakich czcionek używano do druku książek, przeznaczonych na eksport do Moskwy? Niech się Giertych nie krępuje. Niech wygarnie tym samym tchem, że Święty Cyryl urodził się w Suzdalu, a wynalazku swego dokonał w Solwyczegodskiej Pustelni. I znów trzeba siadać na szkolnej ławce, otwierać podręcznik i dowiadywać się, że na Białorusi i Ukrainie powstawały drukarnie w tym samym czasie, gdy w Moskwie Iwanów Srogich i Groźnych drukarzy, przybyłych z zagranicy, palono na stosach. Zaś rosyjska g r a ż d a n k a stanowiła taki sam wynalazek, jak dorobienie nowego ucha do starego czajnika. Ot, wam i «moskiewska proveniencja»!

Na deser Giertych używa typowego chwytu spod znaku «jedynoj i niedielimoj», porównując

Ukrainę do Prowancji, a Szewczenkę do Mistrala. Przed paru laty jużemy na ten temat polemizowali w «Wiadomościach», przy czym, jak mi się wydało, kwestię wyczerpałem w artykule pt. «Masońskim dyszlem z Kreszczatiku na Ramblas». Giertych, choć zwykle chętny do dyskusji, wówczas z dalszego ciągu zrezygnował. Teraz powraca do starych i dawno obalonych argumentów. «Prawo Prowancji do niepodległości - pisze z całą powagą - mierzyć trzeba nie prowansalską dwutysiącletnią historią, ale siłą lub słabością ruchu prowansalskiego od czasu założenia «Félibrige». Podobną miarą mierzyć trzeba sprawę Ukrainy».

Mierzmy. Prowansja utraciła niezależność bardzo wcześnie. Stała się obiektem walk feudalnych i dynastycznych. Andagawenowie, królowie aragońscy, później francuscy, a nawet książęta sabaudzcy, którzy od czasu do czasu również wtrącali trzy grosze. Właściwie już za Walezjuszów, nie mówiąc o Burbonach, kwestia ta nie istnieje. Rewolucja francuska zmiata resztki politycznych tradycji. Odrodzenie języka langwedockiego w literaturze, zainicjowane przez Jeana Jasmina, a kontynuowane przez felibryzistów z Mistralem na czele, skutków politycznych nie miało. Gdzież tu analogia z Ukrainą? Gdzież zrywy niepodległościowe, choćby w przybliżeniu dające się porównać z ukraińskim XVII i XVIII wiekiem? Również analogia Mistral-Szewczenko świadczy jedynie o tym, że Giertych nie bardzo wie o czym pisze. Na Szewczence wychowały się i modliły całe pokolenia, jak u nas na Mickiewiczu i Słowackim, - «Mirellę» Mistrala czytywano jako piękny poemat i ciekawostkę językową. Ukraina w czasie drugiej wojny światowej dała potężny ruch narodowy i armię powstańczą: Prowansja - marché noir między Marsylią i Niceą i zjazd dam z półświatka do Juan-les-Pins na wywczasie z amerykańskimi żołnierzami. Jeśli zaś dała również «résistance», to pod sztandarem ogólnofrancuskim, a nie prowansalskim. Oto i giertychowe analogie!

A teraz sprawa umowy warszawskiej i pokoju w Rydze. Giertych podtrzymuje swe stanowisko, twierdząc, że «nie pogwałciliśmy żadnego z artykułów umowy». Zgadzam się, że Wyprawa Kijowska skończyła się «aktem siły wyższej, zamykającym sprawę». Prowadzić wojnę po bitwie niemeńskiej, ani przygotowywać się do nowej wyprawy na wiosnę 1921 nie mogliśmy. Ale uznawać w Rydze Rakowskiego i Joffego jako przedstawicieli Ukrainy nie mieliśmy prawa. Oddziały Petlury dotrzymały wierności do końca. W krytycznych momentach bitwy warszawskiej odegrały swoją rolę, broniąc uporczywie Zamościa, co nie było bez znaczenia dla powodzenia kontrataku znad Wieprza. Dla całego świata różnica między Rygą i Jałtą jest właśnie taka, jak między szarżą pułku ułanów pod Komarowem, a wybuchem bomby atomowej w Hiroshimie. A dla Ukraińców Ryga miała identyczną wymowę, co Jałta dla nas. W tym sensie analogia jest pełna.

Wśród fint i chwytów stosowanych przez Giertycha są i takie, za które na ringu groziłaby natychmiastowa dyskwalifikacja. Giertych przyznał rację memu oskarżeniu niepoczytalnej polityki kresowej, stosowanej w Polsce przedwojennej. Ale zarzuca mi nielojalność, twierdząc, że metody gwałtu wobec Ukraińców nie mają nic wspólnego z polskim obozem antyukraińskim, czytaj: Stronnictwem Narodowym i samym Giertychem. Albo Giertych cierpi na amnezję, albo liczy na

krótką pamięć u innych. Według niego, «metody gwałtu były ubocznym wytworem kierunku pro-ukraińskiego. Zrodziły się one z irytacji, że z Ukraińcami nie można się dogadać, i wyrażały odruchową reakcję: «Jeśli jesteście tacy, to my wam pokazemy!» A więc coś w rodzaju krwawej zemsty zawiedzionego kochanka.

Chętnie wierzę Giertychowi na słowo, że, jeśli nie protestował przeciw polityce kresowej, to wyłącznie ze względów cenzuralnych, natomiast protestował w formie mu dostępnej, między innymi, tłumacząc lwowskiej młodzieży akademickiej, że «pacyfikacja jest zarówno niepoczytalnością, jak zbrodnią». Jeśli tak było - a powtarzam, że wierzę mu na słowo - Giertych jest pod tym względem w porządku. Ale, widać, miał w swym obozie nikłe wpływy, skoro interwencje jego żadnego skutku nie odniosły.

Co się działo na zamkniętych konwentyklach lwowskiej młodzieży narodowej, oczywiście, wiedzieć nie mogłem. Ale jakie były nastroje i poglądy wśród o g ó ł u młodzieży narodowej, wiem bardzo dobrze. Byłem stałym i gorliwym czytelnikiem prasy narodowej, od stołecznej. poczynając, a na lokalnych czasopismach kończąc. Chyba się jeszcze znajdą gdzieś roczniki tych pism, - łatwo sprawdzić, czy Giertych ma rację. Bo dzieją się rzeczy, zaiste, rewelacyjne. Okazuje się, że zwolennicy «polityki gwałtów» ograniczali się do grupki «istniejącej na peryferii obozu narodowego, ze Stanisławem Grabskim i Klaudiuszem Hrabym na czele». Zaś cała reszta była czysta jak łąka.

Pomówmy więc o faktach konkretnych. Czy Giertych pamięta reakcję prasy swego obozu, gdy wybuchła «rewindykacja wołyńska»? Właśnie główne organy prorządowe zachowywały raczej kłopotliwe milczenie, a taki «Głos Lubelski», że wezmę przykład mi najbliższy, dał we wszystkie surmy i złote rogi zwycięstwa. Przypomnę, że nagonka, rozpętana przeciw wojewodzie Józewskiemu, który rewindykacji usiłował przeciwdziałać, miała gorliwych pomocników, a w wielu wypadkach inicjatorów wśród publicystów obozu narodowego. Akurat w tym czasie byłem na Wołyniu i widziałem z bliska, co się działo.

Społeczeństwo polskie w Łucku i innych miastach Wołynia to był cocktail ideologiczny zupełnie specjalnego rodzaju. Różnice polityczne zacierały się i ustępowały miejsca pełnej harmonii, gdy chodziło o «świętą wojnę» przeciw Ukraińcom i «zdradzającemu sprawę polską» wojewodzie. Przysięgły sanator był za pan brat z miejscowym prezesem Stronnictwa Narodowego; były legionista całował się z dubeltówki z Januszajtisem; czule patronował im ksiądz Tokarzewski, który z tej racji, że przez pewien czas był kapłanem w Belwederze, uważał siebie za najbardziej autoryzowanego wykładnika ideologii Piłsudskiego; do tego dochodził KOP i Sąd Okręgowy, a wszystko znajdowało swój wyraz publicystyczny w dymiącym kociołku «Kuriera Wołyńskiego», gdzie pewien pułkownik w stanie spoczynku, w asyście pewnego kaprała na emeryturze i dziennikarza spod ciemnej gwiazdy, szkalował co tydzień Józewskiego i nawoływał do «ratowania polskości». Otóż bardzo mi przykro, ale muszę stwierdzić, że w, tej równie brudnej, co samobójczej

robocie brało czynny udział Stronnictwo Narodowe, i na to Giertych po niewczasie nic nie poradzi. Trzymało się z dala od tej akcji kilku wyższych wojskowych, którzy widzieli rzeczywistość inaczej, ale wpłynąć na nią nie mogli czy nie chcieli, spora część duchowieństwa i ziemiaństwa, wreszcie w miarę swych sił starało się ratować dobre imię narodu polskiego nauczycielstwo, a przynajmniej jego duży odłam, ośrodek krzemieniecki, «Rocznik Wołyński» Hoffmana, poszczególni działacze ze «Związku Młodzieży Wiejskiej», ten ów ze starostów.

Nigdy nie miałem zwyczaju potępiania wszystkiego w czambuł, więc chętnie się zgodzę, że niejedyn z członków Stronnictwa Narodowego, gdyby wiedział dokładnie, co się dzieje na Wołyniu, zaprotestowałby z oburzeniem. Szkoda więc, że Giertych nie zawadził wówczas o Łuck. Miałby wdzięczne pole do działania w uśmierzaniu miejscowych entuzjastów palki i kolby, jako uniwersalnego środka na spolszczenie i skatolicyzowanie Wołynia.

Powiem więcej, skoro się już o tym zgadało. W ostatnich latach przedwojennych reżim sanacyjny poszedł na kokietowanie skrajniejszej młodzieży narodowej, uważając, że jest to najwartościowszy element z wojskowego punktu widzenia. Na pewnych odcinkach życia społecznego powstało zjawisko wzajemnej osmozy, którą ktoś celnie określił jako «endeczenie się sanacji». Papierek lakmusowy tej tendencji stanowiły choćby zmiany w zespole współpracowników «Polski Zbrojnej», a barometr publicystyczny - osławiony «Merkuriusz Ordynaryjny». Między moim kolegą szkolnym, korporantem z KUL'u, który po powrocie ze ślubowania w Częstochowie, gdzie krzyczał w pochodzie: «Precz z sanacją!», oświadczał mi kategorycznie: «Co? Ukraińcy? Trzymać za mordę! Za mordę!», a sanacyjnym starostą w Tomaszowie Lubelskim, wysadzającym dynamitem cerkwie prawosławne, nie było już żadnej różnicy.

Zanotujmy inny niedozwolony chwyt. Giertych daje do zrozumienia, że sanacja a «obóz ukrainofilski» - to jedno i to samo. Giertych był i jest wojującym członkiem swojej partii; moje partyjnictwo trwało krótko choć intensywnie, i skończyło się przeszło szesnaście lat temu. Byłem przed wojną takim «ukrainofilem», który artykuły polityczne w «Biuletynie Polsko-Ukraińskim» musiał pisywać pod pseudonimem, bo dla «opiekunów» byłem trefny. Włodzimierz Bączkowski, nie chcąc rezygnować z mojej współpracy, musiał trzymać mnie pod korcem. Łatki sanatora Giertych mi nie przypnie, chociaż wiem, że mnie uważa za człowieka, którego mentalność ukształtowała się w kręgu «piłsudczyzny». Mego pozytywnego, a nawet, jeśli ktoś chce, entuzjastycznego stosunku do Marszałka nie ukrywałem nawet wobec dygnitarzy paryskiej «Reginy», tym bardziej nie będę ukrywał go dziś. Ale od tego do «sanacji» daleko. Nieszczęście Polski przedwojennej polegało głównie na tym, że obóz Piłsudskiego nie stworzył zwartej ideologii, nie stał się partią polityczną w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Gdy dawne orliki legionowe zaczęły obrastać tłuszczem, została już tylko siuchta, z niedojrzałych jajek ideowych wykluwały się hasła rocznicowe, a z liści, obsypujących się z wieńca wędnącej legendy, można było uwarzyć już tylko zupkę osobistej kariery. Polski obóz ukrainofilski - to były jednostki. Jedni, jak Hołówko, Wasilewski, odchodzili na zawsze; inni, jak Łoś, Dunin-Borkowski, coraz rzadziej brali pióro do

ręki; jeszcze inni, jak Pruszyński zdradzali; reszta szamotała się bezsilnie w narzuconych ograniczeniach i sieciach. A teraz przychodzi Giertych i powiada, że to właśnie «ukrainofile», obrażeni na Ukraińców za ich upór, wymyślili pacyfikację, Berezę, rewindykację i palenie świątyn prawosławnych.

A wreszcie pomówmy i o tym, jak wyglądały sprawy przed rokiem 1926. Czy Giertych zna różne wyczyny na Wołyniu za czasów wojewody Aleksandra Dąbskiego, który przecież piłsudczykiem nie był? Czy słyszał o słynnych wypadkach w Łucku, na które musiały reagować aż czynniki wojskowe w Warszawie, a zareagowały tak, że kilkunastu funkcjonariuszów policji wyleciało ze służby państwowej? Czy zna okoliczności śmierci Olgi Basarab w więzieniu lwowskim? I dziesiątki i setki innych wypadków. Tego «sanacyjnym ukrainofilom» nie podrzuci. To przecież było za czasów «demokracji» i «parlamentaryzmu»!

W tym moim wodzeniu się za czuby z Giertychem pozostaje sprawa najtragiczniejsza: lata 1939-45. «Ukraińcy - pisze Giertych - zastosowali wobec nas metodę rzezi. Rzeź ta nie była nieopanowanym wybrykiem motłochu, ale planową operacją... odpowiada jej w zupełności wynalezione przez kilku laty słowo: «genocide».

Ciężko mi pisać o tej sprawie, o której wolałbym zapomnieć. Ale zapomnieć można by tylko pod warunkiem, że obydwie strony przeprowadzą rachunek sumienia i, wyznawszy wzajemne winy, będą prosiły o wzajemne wybaczenie. Ton, w jakim pisze Giertych, ton, jakiego używa niejedno pismo ukraińskie, świadczy że jeszcze daleka droga do Jordanu, którego świętą wodą zmylibyśmy piętno Kainów z naszych czoł. Materiał, jakim rozporządzam, jest tylko drobnym ułamkiem tego, co się działo, ale i on wystarczy, by móc zabierać głos z pewnym poczuciem odpowiedzialności za swoje słowa. Więc w innej części artykułu omówię i tę hańbiącą sprawę dokładnie.

MIĘDZY KIJOWEM I MOSKWA

A teraz przejdźmy do kwestii zasadniczej. Czy powstanie niepodległej Ukrainy leży w interesie Polski, czy nie? Jeżeli tak, warto dalej prowadzić dyskusję, jeżeli nie - cała reszta traci znaczenie. Bo jeśli prawdą jest, jak utrzymują Giertych, Studnicki, Zbyszewski, że przykładanie przez nas ręki do budowania ukraińskiej niepodległości, lub choćby nieprzeszkadzanie temu budowaniu grozi narodowi polskiemu całkowitą zagładą, cóż któregokolwiek Polaka mogą obchodzić zagadnienia, które tu zostały poruszone! Są Ukraińcy narodem, czy nie, mają prawo czy nie mają do spadku po Rusi Kijowskiej, był Szewczenko prorokiem, czy rodzajem ukraińskiego Mistrała - wszystko to przesuwają się na płaszczyznę zainteresowań czysto akademickich. A jeśli Giertych ma rację? Jak tu ratować, a choćby tylko współczuć tonącemu, jeśli natychmiast po uratowaniu przebiję mnie nożem, albo inni, silniejsi ode mnie, rozgniewani, że wtrącam się do nie swoich spraw, mnie samego wrzucają do rzeki? Rzeczywiście, niepodobna! Więc czy nie lepiej, otarłszy «ukrainofilską»

łezkę z powieki, dać sobie spokój i rodakom czulej wątroby nie jątrzyć?

Właśnie takie stanowisko zajął Zbyszewski w artykule «Wedle stawu grobla». Nie interesuje go «nastawienie sentymalne p. Łobodowskiego», ani «strona historyczna polemiki». Natomiast w zgodzie z Giertychem twierdzi, że nasza czynna interwencja w walce narodu ukraińskiego o swój niepodległy byt skończyć się może straszliwą katastrofą, ponieważ Zachód utwierdziłby się w przekonaniu, że «jesteśmy narodem awanturniczym, którego nie można brać na serio», no i dlatego, że «dla Rosji kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci. Giertych przytacza argumenty bardzo zbliżone. Stanowisko proukraińskie mogą poprzeć wyłącznie Niemcy, ale będzie to poparcie zdradzieckie, zaś «Rosji narazimy się na śmiertelną nienawiść i zemstę».

Przede wszystkim wyrażę przekonanie, że w sprawie ukraińskiej, jak i w każdej innej musimy zdobyć się na stanowisko czynne. Zbyszewski sugeruje zachowanie się wręcz odwrotne. Ponieważ nie mamy sił na rozbijanie Rosji, a nasze urojenia mocarstwowe i tak już nam wiele szkody przyniosły, więc «nie wkładać palca między drzwi», pamiętać, że «wedle stawu grobla», i w ogóle trzymać się przysłowia ukraińskiego: «Moja chata z kraju, ja niczoho ne znaju». Gdyż «maksimum czego w najpomyślniejszym wypadku możemy oczekiwać, to to, że będziemy przesłuchiwani w sprawie naszych granic».

To wszystko brzmi wielce rozsądnie, ale ma jeden logiczny mankament. Oto wcale nie jesteśmy w sytuacji owego gospodarza, którego chata stoi «z kraju». Nigdy nie stała. Dziś mniej niż kiedykolwiek. Więc albo Zbyszewski zmieni geografie, przesunie na wzór genialnego Stalina góry i zmieni kierunek rzek, albo przeniesie polską «chatę» na inne wygodniejsze miejsce. Mamy spór z Niemcami, mamy spory ze wszystkimi wschodnimi sąsiadami i musimy się zdecydować na którym froncie pójdziemy na ugodę. Natomiast nie stać nas, jak proponuje Zbyszewski, na czekanie, aż zwycięscy Yankesi zawołają nas do stołu, przy krytego zielonym suknem, i łaskawie zapytają: «No, a ty, pętaczyno, coś przykucnął pod miedzą, czego właściwie sobie życzysz?»

Tragedia polega jeszcze i na tym, że zanim moźni tego świata zaczną nas «przesłuchiwać», już cegły polecą nam na głowy. Zanim zaczęła się konferencja w Wersalu, już był front ukraiński, a potem awantury z Grenzschutzem, kłopoty z Litwinami i nawała bolszewicka od wschodniej ściany. Tym razem może to wyglądać jeszcze groźniej.

Więc gdy Zbyszewski twierdzi, że nie stać nas na politykę w większym stylu, ja postawię tezę wręcz przeciwną: jeśli na co nas nie stać, to na bierność, na koncepcje połowiczne, na przeczekiwanie burzy pod dziurawym parasolem oportunistów. Jeśli stoimy na stanowisku, że idealne dla nas rozwiązanie na Wschodzie to granica ryska z przyszłą Rosją - chcą tego i Giertych i Zbyszewski, choć widzą trudności -, zaś niepodległej Ukrainy trzeba się strzec, jak diabeł święconej wody, czemuż zwlekamy? Jest Kiereńskij, są inne grupy emigracyjne, większość przyjmie nasze oferty z wyciągniętymi rękami. Zbyszewski jednak w ogóle z Rosjanami zadawać się nie chce, bo to «raby» i kraj, nadający się wyłącznie pod okupację i kolonie; Giertych chciałby, ale konkretnego

programu w tej mierze również nie precyzuje.

Gdzież wzór dla ogarniętych duchem don Kichota Polaków? Zbyszewski już go znalazł. W Sztokholmie. «Szwecja też pewno wolałaby, by Rosja była pokawałkowana, ale mimo to przezornie zapomniała o Karolu XII i Mazepie i pary z ust nie puszcza na temat Ukraińców». Ja wiem, że Zbyszewski jest dowcipnym człowiekiem, ale gdzie Kijów, gdzie Moskwa, gdzie karczmy sztokholmskie? Szwecja miała konflikty z Rosją, dopóki chciała odgrywać rolę głównego mocarstwa w północnej Europie i panować nad Bałtykiem. Wyprawa ukraińska, zakończona katastrofą połtawską, była funkcją tych dążeń. Skończyło się i Szwedzi fabrykują zapalki, sprzedają żelazo, jeżdżą raz na tydzień na wycieczki za miasto, co czwartek folgują sentymentom, wódkę piją na naparstki, do nikogo pretensji nie mają, ani nikt do nich - i tyle. Tu rzeczywiście «moja chata z kraju» ma pełne zastosowanie. Niech Zbyszewski odgrodzi nas Bałtykiem od Moskali i też będzie spokój. Ale zamiast Bałtyku równinka i trzeba się do przyszłego «przesłuchiwania» jakoś przygotować.

Giertych grozi «śmiertelną nienawiścią i zemstą Rosji», Zbyszewski poszukał straszaka w postaci Żydów. To Żydzi decydują o wszystkich posunięciach w skali światowej i oni «nigdy przenigdy do powstania niepodległej Ukrainy nie dopuszczają». Dotychczas Zbyszewski zgadzał się we wszystkim z Giertychem, tu wynikła poważna kontrowersja. Bo ten drugi twierdził przecież przy innej okazji, że ukraiński ruch niepodległościowy powstał z natchnienia masonerii. A masoneria - wiadomo. Zabawne, jak to się wszystko plecie. Paru Rosjan przekonywało mnie niedawno, że największym wrogiem «jedynoj i niedielimoj» jest żydowska masoneria, działająca za parawanem Białego Domu. Gdyby nie ona, już dawno Truman zaprosiłby Władimira Kiryłłowicza na week-end nad brzegi Potomacu. Dziwni ci Żydzi i masoni, - ciągle cierpią na rozdwojenie jaźni.

Inny argument: «Żadna Ukraina wobec Rosji nie utrzyma się trzech miesięcy bez obcej okupacji». Tak przecież było w roku 1918. Wprawdzie Dniepr wielka rzeka, ale dla wielu osób woda w niej stała najwidoczniej na miejscu w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie zamierzam bawić się w prorocтва, bo nie wiem w jakich okolicznościach zewnętrznych i wewnętrznych nastąpi krach sowiecki. Od tego i od zachowania się Zachodu, Stanów Zjednoczonych przede wszystkim, zależeć będzie niemal wszystko. Ale coś zostanie i dla nas. Pewnie, że jeśli naród ukraiński nie wykaże dostatecznej decyzji i siły w owym momencie, to i nasza ewentualna pomoc na nic się nie zda. Ale chodzi o co innego, o to mianowicie, by nie powtórzyła się wojna, rozbijająca nasze siły, by Ukraińcy mieli rozwiązane ręce na Północy a my na innych, żywotnych dla nas odcinkach. A do tego nie dojdzie bez uprzedniego porozumienia.

We wszystkich polemikach z przeciwnikami tezy pro-ukraińskiej zauważyłem uparte przechodzenie do porządku dziennego nad głównym argumentem adwersarzy. Tak i tym razem. Giertych w ogóle go ignoruje, Studnicki również, Zbyszewski ledwie o niego potrąca. Tego argumentu nie wymyśliłem, ani go podaję po raz pierwszy. W «Biuletynie Polsko-Ukraińskim», w

«Myśli Polskiej», w «Problemach Europy Wschodniej» zapisaliśmy na ten temat tony papieru, a tu nic, szanowni przeciwnicy wciąż udają, że nic o tym nie wiedzą. Więc Giertych mówi: «Ukraina byłaby nieuchronnie sojuszniczką Niemiec, a więc brałaby nas wraz z Niemcami nieuchronnie w kleszcze». Pamiętam, w roku 1938 identyczny argument wysunął po odczycie Bączkowskiego w Równem świeżo z pułkownika zaawansowany generał brygady Korytowski. «Być może, panie generale odparł Bączkowski -, ale wówczas Rosja stałaby się naszym naturalnym sprzymierzeńcem, neutralizując ukraińskie ramię tych kleszczy; mielibyśmy tylko jednego przeciwnika - na Zachodzie». Po namyśle Korytowski przyznał mu rację.

Zdawało by się: proste. Rosja usunięta z basenu czarnomorsko-kaspijskiego, będzie dążyć do powrotu. Ukraina będzie więc miała zbyt wiele kłopotów z obroną własnej niepodległości, aby myśleć o atakowaniu Polski. Natomiast w razie sojuszu Berlina z Moskwą Kijów stałby się natychmiast naszym sprzymierzeńcem, nawet w wypadku rozstrzygnięcia spornych granic nie po myśli ukraińskiej. Nieprześlągnięci nacjonaliści ukraińscy mogą mówić i pisać dzisiaj inaczej. To nie zmienia faktu, że w razie powstania przedstawionej powyżej sytuacji Ukraina byłaby naszym sprzymierzeńcem. Takie były od początku tezy zwolenników niepodległej Ukrainy, do których niżej podpisany ma zaszczyt zaliczać się. Powtórzmy: niepodległa Ukraina będzie neutralizować niebezpieczeństwo rosyjskie. I osłabiać tym samym skuteczność ewentualnego porozumienia Moskwy z Berlinem. Takie są rozumowe podstawy mego «ukrainofilstwa». A to, że podobają mi się pieśni ukraińskie, że staję się lirycznie rozkliwiony, gdy słyszę granie bandury, że mam we krwi pewne tradycje stepowe, to już jest moja sprawa prywatna, w niczym nie osłabiająca przedstawionego wyżej argumentu. To dla amatorów wyłapywania moich sentymentów osobistych.

No, dobrze, odpowiedzą strategicy, ale co nam po takim sojuszniku który nie utrzyma się w walce z Rosją nawet trzech miesięcy, jak zapowiada Zbyszewski. Wtedy czeka nas straszna zemsta Rosji, jak zapowiada Giertych. Teraz ja powiem: Wolne żarty, panowie! Po wojnie, przegranej przez Sowiety Rosjanie utrzymają się na Ukrainie, lub nie. Jeszcze raz: wszystko zależy od okoliczności, w jakich nastąpi przełomowy moment. Ale Ukraina, która będzie miała za sobą choćby kilka lat samodzielnego życia, stanie się orzechem, niełatwym do zgryzienia nawet przez Rosję i skuteczną przeciwwagą eurazjatyckiego olbrzyma. Moi adwersarze widzą wszystko w perspektywie kilku miesięcy powojennych; ja uparłem się patrzeć - cóż za niepoprawny romantyk! - w perspektywie historycznej.

Przy okazji trzeba wywrócić na nice jeszcze jeden argument Giertycha i Zbyszewskiego. Obydwaj są zgodni w tym, że dla Rosji «kwestia Ukrainy jest kwestią życia i śmierci, a nie zachłanności imperialistycznej», a nawet jakby się umówili, formułują tę opinię w identycznych słowach. Dlaczego kwestią życia i śmierci? Czy Rosja nie ma dość bogactw na Uralu i Syberii, dość obszarów rolniczych, dość terenów pod kolonizację w miarę wzrostu ludności? Naród rosyjski może żyć, rozwijać się i prosperować zarówno bez Ukrainy, jak bez Kaukazu i Turkiestanu. Tyle, że gdy nareszcie zrozumie, iż jego sąsiedzi mają prawo do rządzenia się samodzielnie, zrezygnuje ze

swych planów hegemonicznych i straci niezdrowe apetyty, może i w tej części świata zapanuje nareszcie spokój i jako takie współzycie narodów. Bardzo zabawnie wyglądają ci Polacy, którzy wyrażają dziwną pewność, że kuracja odtłuszczająca musi zabić nażartego rekina.

Boją się oni sojuszu Berlin-Kijów, zapominając, że sojusz Berlin-Moskwa działa już od dwustu lat. «Kleszcze niemiecko-ukraińskie» będą stanowić wielkie niebezpieczeństwo. Będą dopiero, bo dotychczas ich nie było. Natomiast był sojusz Fryderyka z Katarzyną, Bismarcka z Aleksandrem, Ribbentropa z Mołotowym. Było Rapallo. Ciekawe, że osoby, tak bardzo wyczulone na sojusz niemiecko-ukraiński, zawsze zapominają w polemice o sojuszu niemiecko-rosyjskim. Profesor Studnicki zagalopował się tak bardzo, że uznał niepodległą Ukrainę za przyszły wysunięty posterunek imperializmu rosyjskiego. Napisałem mu, że Ukraina, włączona do imperium rosyjskiego, jest takim samym posterunkiem, tyle że o większej potencji, a więc zwiększającym możliwości porozumienia Prus z Moskwą. W swej odpowiedzi Studnicki raczył tego argumentu nie zauważyć.

A cała dyskusja sprawia takie wrażenie, jak gdyby moi adwersarze zatrzymali się w swej «znajomości» problemu ukraińskiego na jakiejś bardzo zamierzchłej reminiscencji historycznej. Przypomina się anegdota o tym diaku, co to zaczął czytać gazety dopiero na starość. Zbierał więc chłopów wieczorami i czytał im stare pisma, które do niego dotarły. Przez kilka dni cała wieś była niesłychanie przejęta wiadomościami z frontu bałkańskiego. Aż znalazł się ktoś, bardziej wprowadzony w rzeczywistość, kto wytłumaczył pobożnym parafianom, że wojna rosyjsko-turecka skończyła się przed dwudziestu laty. Proszę nie mieć do mnie pretensji, jeśli wyznam, że nie mam najmniejszego pojęcia, w którym roku skończyła się dla Giertychów i Studnickich historia wojen polsko-kozackich.

Giertych przewiduje następującą możliwość. Oto jeśli w świecie zwycięży koncepcja budowania nowej Europy, jako systemu niemieckiego, wówczas może powstać sprzymierzone z Niemcami państwo ukraińskie nie nad Dnieprem bynajmniej, lecz na Ziemi Czerwieńskiej, «ewentualnie z Bukowiną, Rusią Zakarpacką, Wołyniem, może Chełmszczyzną, Przemyślem itd.» Jak widzimy. Giertych ma niebylejaką fantazję. Liczy się poważnie z powstaniem niepodległej Ukrainy ze Lwowem, a bez Kijowa, Połtawy, Charkowa i Odessy. Gdy Giertych któregoś dnia zamiast artykułów zacznie pisać romantyczne wiersze, będzie to niepowetowana strata dla publicystyki narodowej.

Muszę jeszcze pokwitować pewną uwagę, zwróconą pod moim osobistym adresem. Giertych wyraża z lekka ironiczne przeświadczenie, że dobrze znam jego książkę «O program polityki kresowej», wydaną w roku 1932. Niestety, nie znam. Mimo to znam dostatecznie poglądy Giertycha w sprawie ukraińskiej na podstawie tego, co napisał na emigracji, podobnie jak on zna poglądy moje, choć na pewno tego, co pisałem przed wojną, nie czytał.

Giertych jest dumny z tego, że w swoim czasie zwalczał metody gwałtu, stosowane wobec

Ukraińców. Właśnie we wspomnianej książce opowiedział się przeciw «uciskowi ludności ruskiej i nietolerancji wobec jej dóbr, takich jak obrządek czy mowa ojczysta». To bardzo ładnie. Ten liberalizm nie przeszkodził mu jednak twierdzić, że «musimy n a r z u c i ć naszym Rusinom alfabet łaciński» i w ogóle «włączyć społeczność ruską w nasze życie narodowe w podobny sposób, jak Walia włączona jest ze swoją odrębnością językową w życie brytyjskie, a Bretania w życie francuskie». Czyli - modlił się pod figurą, a diabła miał za skórą. Przecież program taki z góry implikował zastosowanie metod gwałtu, od których Giertych tak żarliwie się odzęgnyje. A wreszcie jest to typowe bujanie w obłokach, oraz bujanie czytelników i samego siebie. Dla Giertycha Ukraińcy są czymś w rodzaju polskich Walijczyków, czy rosyjskich Szkotów. A jakże, toż napisał, że między Kijowem i Moskwą jest akurat taki dystans, jak między Edynburgiem i Londynem. Rozumiem, że panu Onufremu Zagłobie mogą się śnić przy kominku bardzo smaczne sny, ale po cóż po przebudzeniu się podawać te sny za rzeczywistość! Jako bajkopisarz Giertych mógłby być zabawny; jako publicysta i historyk jest niepoważny, nieuczciwy i szkodliwy.

REAKCJA UKRAIŃCÓW

Jak zaznaczyłem na wstępie, artykuł mój «Między Muszalskim i Zagłobą» odbił się dość szerokim echem wśród Ukraińców. Regularnie dochodzą do mnie tylko nieliczne pisma ukraińskie, inne od przypadku do przypadku, zapewne więc nie rozporządzam całym materiałem. «Soborna Ukraina», wychodząca w Paryżu, zamieściła skrót artykułu, zaopatrując go krótkim komentarzem, w którym między innymi zwraca uwagę na to, że «Łobodowski traktuje skomplikowane i drastyczne sprawy w sposób, nie znieważający ukraińskich sentymentów narodowych». Katolicki dziennik «Amerika», wychodzący w Filadelfii, ograniczył się do przedrukowania artykułu w całości, nie dodając żadnego omówienia. Dał je natomiast monachijski dwutygodnik «Suczasa Ukraina». Komentarz ten podaje w całości, gdyż dobrze precyzuje ukraińskie stanowisko i nie ujmuje sprawy fanatycznie, jak to często zdarza się Ukraińcom. Napisał go Jewhen Wrzeciona, wybitny publicysta, znany czytelnikom «Kultury» z przełożonych przeze mnie wspomnień z Berezny Kartuskiej.

„Ogłosiliśmy artykuł Józefa Łobodowskiego, jako rzeczowy i bezstronny głos w tak doniosłej ukraińsko-polskiej dyskusji. W dyskusji tej istnieje pewien zasadniczy moment, nad którym osoby dyskutujące zwykle pragną przechodzić do porządku dziennego: wyjściowe pozycje Polaków i Ukraińców są różne, aczkolwiek nie są całkowicie przeciwstawne. Polacy wciąż jeszcze pragną rozpatrywać ukraińskie walki wyzwolenicze wyłącznie z punktu widzenia polskich interesów państwowych, Ukraińcy - z punktu widzenia interesów ukraińskich. Nie możemy zgłaszać do Polaków żadnych zastrzeżeń z tego powodu, że sprawy własne i obce rozpatrują właśnie z takiego punktu widzenia, ale mamy prawo wymagać, aby rozumieli i nas. Cały czas po roku 1918 (oczywista, również i przedtem), Polacy widzieli w nas wyłącznie zbuntowanych obywateli

polskiego państwa, podczas gdy moralnie myśmy się nimi nie czuli i czuć nie mogli. Nie chodzi o to, jaka była nasza sytuacja prawna, gdyż wynikała ona z organicznego faktu przegranej wojny, o czym w dyskusji nie wolno zapominać. Dlatego też nie warto powtarzać słusznych uwag autora artykułu o polskiej polityce w latach 1818-39. O wiele bardziej istotną rzeczą jest zrozumieć, że po roku 1939 widzieliśmy dla naszych wyzwolńczych zmagani całkiem określoną polityczną koniunkturę, którą chcieliśmy wykorzystać, co prawda, bez natychmiastowego powodzenia. Czy celowe jest powracanie do tych czasów tylko po to, aby nawzajem przypominać sobie pomyłki? Polacy prowadzili wojnę z Niemcami, ale ta wojna nie była i nie mogła być naszą wojną. Po roku 1941 i my znaleźliśmy się w wojnie z Niemcami, ale wówczas Polacy byli sojusznikami bolszewików, naszych wrogów.

Kwestia odpowiedzialności jest bardziej skomplikowana, niż jej prawne sformułowanie. Oprócz indywidualnej i zbiorowej odpowiedzialności istnieje również odpowiedzialność historyczna. Zgadamy się, że okres 1941-45 nie zapisał się w naszej wspólnej historii złotymi literami. Ale czy szanowny autor zadał sobie trud przeprowadzenia chronologicznej rekonstrukcji faktów? Nie ma wielkiego znaczenia, ile ofiar padło z obydwu stron, bo to jest kwestia stosunku sił w danym okresie. W każdym zderzeniu ktoś wygrywa i ktoś przegrywa. Przypomnijmy, że zanim doszło do pożałowania godnych wydarzeń na Wołyniu i w Galicji, miał miejsce powszechny terror Polaków przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed 1941. Wystrzeliwanie wiejskich nauczycieli, pracowników spółdzielni, palenie cerkwi i nawet „podziemne” pacyfikacje całych miejscowości w Hrubieszowszczyźnie i Chełmszczyźnie - takie były preliminaria smutnych wydarzeń. Ukraińcy byli wówczas bezbronni, zaś Polacy wykorzystywali dziwną bezczynność niemieckiej żandarmerii i policji, wymierzając karę „zdrajcom”. Janowa Dolina to osobny rozdział. Ale czy wiedzą nasi polemści, że przed Janową Doliną był Dermań, gdzie ludzie wbijano na pal, a dzieci rzucono do studni? Czy wiedzą nasi polemści, że po odejściu ukraińskiej policji w las zjawiała się na Wołyniu policja polska i słynny oddział „wołyńskiej żandarmerii” w niemieckich mundurach? Nie możemy zgodzić się z twierdzeniem autora, że odezwy OUN przeciw terrorowi były spóźnione i że nie można było przeprowadzić odpowiedniej kontroli. Przypomnijmy jednak, że identycznych odezw, choćby i spóźnionych i niekontrolowanych, ze strony polskiej nie było.

Możliwe, że próby dogadania się były spóźnione, ale nie należy ich nie doceniać. Od roku 1942 toczyły się między miejscowymi Polakami i Ukraińcami rozmowy, które dały nawet poważne praktyczne wyniki, co więcej, doprowadziły do nienotowanego od stuleci polsko-ukraińskiego braterstwa broni. Niestety, nie z naszej winy rozmowy te nie mogły rozwinąć się na szerszej politycznej płaszczyźnie. Polacy wciąż jeszcze chcieli widzieć w nas buntowników, z którymi trzeba rozmawiać w terenie, ale nie przy okrągłym stole. Ukraińscy rozmówcy dobrze to wyczuwali i zrozumieli całą nienaturalność polskiej sytuacji. Być może, że i wówczas gdzieś od góry burczał głos Zagłoby i przeszkadzał miejscowym Muszalskim być sobą.

Jesteśmy dalecy od pobrzękiwania szabelką, ale gdy nam przypominają Tucholę, Dąbie, Brześć,

trudno nam milczeć i, chociaż nie chcielibyśmy tego, wracamy do starych urazów. To nie dobrze. Ale jakie inne wyjście? Do platonicznej miłości jeszcześmy politycznie nie dojrżeli i co najwyżej staramy się nie iść drogą dawnych pomyłek.

Istnieje inne jeszcze zagadnienie, związane z kwestią pokojowego współżycia dwóch sąsiednich narodów - zagadnienie etnograficznych granic. Na naszej ziemi chcemy być gospodarzami i w tej sprawie próżne są powoływania się na rozsądne kompromisy. Ale nie odmawiamy Polakom dawno osiadłym na Ukrainie prawa do pozostania na tej ziemi. Teraz jest jeszcze za wcześnie, ale gdy przyjdzie czas, powiemy owym z dawna osiadłym Polakom: wracajcie, żyjcie, mieszkajcie wraz z nami jako ukraińscy obywatele. Wówczas przyjdzie czas nie tylko na rozwiązanie sprawy pokojowego współżycia dwóch narodów i dwóch państw, ale i na kładzenie trwałych podwalin pod wspólne wysiłki dla zabezpieczenia istnienia i potęgi tych dwóch narodów, które, stojąc ramię przy ramieniu, będą bronić nowego, sprawiedliwego porządku w Europie. Nie wiemy jak daleko jeszcze do tego czasu, ale chcemy wierzyć, że ani Sanem ani Dniestrem nie popłyną polskie i ukraińskie trupy, a jeśli, to trupy tych, którzy padną we wspólnym boju za wspólną sprawę”.

Jak widzimy, Wreciona słusznie kładzie nacisk na dwa momenty, które nasi «wąskotorowi» konduktorzy polityki kresowej stale przeocza: na kwestię odpowiedzialności historycznej i psychologiczny kompleks Polaków, widzących w niepodległościowcach ukraińskich zwykłych «buntowników» i zdrajców obywatelskiego obowiązku. W dalszym ciągu pomówimy zarówno o tym, jak i o sposobie postawienia sprawy wydarzeń z lat 1939-45. Wreciona docenia w całej pełni znaczenie porozumienia polsko-ukraińskiego, ale jak wszyscy Ukraińcy zagadnienie Ziemi Czerwieńskiej stawia sztywno i bezkompromisowo.

Jeśli jednak odpowiedź Wreciony utrzymana jest w tonie, który nie tylko nie zamyka dalszych rozmów, ale wręcz do nich zachęca, trudno powiedzieć to samo o obszernym artykule, zamieszczonym na naczelnym miejscu w paryskim «Ukraińskim Słowie». Jest to wystąpienie ściśle i wszechstronnie anonimowe. Nie wiadomo, kto pisze, ani też komu i na co odpowiada. Ukrainiec, który poza tym pismem niczego więcej nie czytuje, nie dowiedział się wiele. Tyle tylko, że toczyła się jakaś dyskusja i że była ona całkowicie «chybiona». Po prostu «w polskiej prasie zjawilo się kilka artykułów na ukraińskie tematy. Natychmiast to podchwyciła część ukraińskiej prasy, a nawet ten i ów przedrukowywuje te i owe artykuły, które przy użyciu taktyki Łosia i Hołówki usiłowały uspakajać («usmiruwały») Ukraińców. Poniektóry Polak (to niby ja - J. Ł.) nawet obraża się, żeśmy swego czasu napisali, że «Polacy niczego nie nauczyli się i niczego nie zapomnieli». Poniektóry (to znowu ja - J. Ł.) przy pomocy taktyki Hołówki pragnie przekonać Ukraińców, że możliwości powstania niepodległej Ukrainy są niezbyt duże i że, chcemy czy nie, trzeba chwycić się za polską połę...»

«Duże welmisanohnoho pana redaktora pereproszuju!» Ja takiej «dywowyży» nie napisałem. Twierdziłem natomiast, że spokój od zachodniej granicy może stać się warunkiem powstania

ukraińskiej niepodległości. I żeby nikt nie miał najlżejszej wątpliwości, sprecyzowałem moją myśl raz jeszcze w tych niedwuznacznych słowach: «Nie musi, ale może». Jeżeli się z czyjąś opinią polemizuje, to trzeba ją przedstawiać w relacji autentycznej. Więc b u d' ł a s k a, moich twierdzeń nie przekreślać.

«Polacy niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli». Pragnę zwrócić uwagę Ukraińców dobrej woli i nie zaślepionych nienawiścią, że jednak ci i owi sporo się nauczyli. Ukraińożercze artykuły Giertycha spotkały się na łamach «Wiadomości» z niejedną zdecydowaną odprawą i to bynajmniej nie ze strony osób, znanych z dotychczasowej pracy w dziedzinie ukraińoznawczej. Szkoda, że polakożercze artykuły, drukowane bardzo często właśnie na łamach «Ukraińskiego Słowa», nie spotykają się z podobną reakcją ze strony swych czytelników. I czy «Ukraińskie Słowo» wydrukowałoby odpowiedź na nie, jak redaktor «Wiadomości» wydrukował listy Kosarenki-Kosarewycza i Pawła Kotowycza?

Ale mniejsza o galanterię. Streszczę rozumowanie autora zaczepionego artykułu już choćby z tego względu, że «Ukraińskie Słowo» reprezentuje wcale poważny odłam politycznej emigracji ukraińskiej.

Punkt wyjścia jest następujący. Sytuacja Ukrainy nie jest gorsza niż Polski. Bliska jest ta chwila, gdy Niemcy «znów wdzieją buty». Nikt na Zachodzie, nawet Francja, nie uznał i nie uzna granicy na Odrze i Nysie. Podczas trzeciej wojny światowej Polska spłynie krwią, podobnie jak Ukraina spływała podczas drugiej. Przyszła walka polsko-niemiecka nie będzie łatwiejsza niż ukraińsko-rosyjska. Straszyć zatargiem z Rumunią również nie ma sensu, bo Rumuni będą mieli dość kłopotu z Węgrami. Polska znalazła się między dwiema potęgami i jej los bardziej jest od nich zależny, niż los Ukrainy. «Szans na trwałą niepodległość» Polska nie ma. Wniosek, którego autor artykułu nie dopowiada, ale który wynika logicznie z całego rozumowania: Ukrainie na ugodzie z Polską zbytnio nie zależy. I drugi wniosek, sformułowany w sposób nie podlegający wątpliwości: «Prowadzenie dyskusji z Polakami jest rzeczą zbędną, bo do niczego nie prowadzi.»

Na tym można by właściwie skończyć. Jak Giertych nie chce słyszeć o Ukrainie, bo to sprawa stracona i może nam najwyżej popsuć dobre sąsiedzkie stosunki z przyszłą Rosją i narazić na straty na Zachodzie, tak «Ukraińskie Słowo» nie chce słyszeć nawet o rozmowach, bo i tak «Polska na niepodległość nie ma szans». Poza tym wszystko przewidziane i jasne. Wehrmacht «wdzieje buty» lada dzień, Polska spłynie krwią i będzie bezsilna, Rumuni podrą się z Węgrami i ani im będzie w głowie Besarabia i Bukowina. Nad Kijowem zwycięski znak tryzuba, o Lwów w ogóle żadnych kłopotów nie będzie. «Otom Papkin, Lew Północy, rotmistrz sławny i kawaler!» jak powiada stary Fredro.

No, dobrze, a podywgsia druże, co się stanie, jeśli wszystko potoczy się innym torem, niż to sobie wykoncypował publicysta z «Ukraińskiego Słowa»? Jeśli wojna wybuchnie i Moskale pomaszerują przez Paryż ku Pirenejom, zanim Amerykanie zdążą wyładować w Hamburgu

pierwszą partię butów dla odrodzonego Wehrmachtu? Jeśli wojna obejdzie Polskę? Jeśli powtórzy się na wielką skalę operacja krymska i nie Polska ale Ukraina spłynie krwią? Jeśli bomby atomowe posypią się na Donbas i Zaporozże? Jeśli Moskwa poprosi o zawieszenie broni w chwili, gdy front będzie o tysiące kilometrów od granic sowieckich? Jeśli sztab amerykański pójdzie w pewnym momencie na wysuwana już w projekcie operację spadochronową na węzeł warszawski i Polska stanie pod bronią, gdy na Ukrainie będą jeszcze stały garnizony sowieckie? Ja tu niczego nie twierdzę, nie prorokuję, ani bawię się we wróżenie ze szklanej kuli, ja tylko przewiduję i n n e wersje wojenne, równie logiczne i prawdopodobne, jak podana przez mego adwersarza. Takich wersji można ułożyć jeszcze kilka i nie wiadomo która z nich stanie się rzeczywistością.

Więc może jednak, szykując się na najgorsze, lepiej nie urządzać sobie kpin z tych Polaków, którzy pragną powstania niepodległej Ukrainy i trwałej z nią ugody? Bo właśnie rok 1919 może się powtórzyć. Powtarzam, jak uprzednio: n i e m u s i, ale m o ż e. A wiadomo, kto z ówczesnej wojny polsko-ukraińskiej wyciągnął największe korzyści.

Taka pewność siebie gubiła już wielokrotnie i nas i Ukraińców. «I Lachów rozbijemy i Tatarów zniszczymy i na tureckiego sułtana wojną pójdziemy i przy pożarze Galaty lulki będziemy zapalać». «Hej - jak krzyknął Hamalija - bracia, będziem żyli, będziem żyli, wino pili, bisurmanów bili, a kurenie aksamitem aż po dach ścielili!» A Polacy z drugiej strony dziarsko odkrzykują: «Ani jednego guzika! I to obronimy i tamto odbierzemy, kupą, mości panowie!» Prawda, jakie to wszystko proste, łatwe i zabawne?

Pewni publicyści polscy nie są w stanie napisać dwóch słów, nie uraziwszy boleśnie ukraińskiej ambicji narodowej. Pewni publicyści ukraińscy nie chcą pozostać w tyle i godnie stają do licytacji. Ktoś, cytując francuskiego durnia, przyświadcza mu z przekonaniem: «Polska istnieje tylko po to, by było kogo rozbierać». Ktoś napisał, że w czasie pierwszej wojny światowej Polacy kolaborowali z Niemcami, a w czasie drugiej z bolszewikami. Ktoś dodał, że podczas, gdy UPA trwa w walce, Polacy wysługują się Rokossowskiemu. A w ogóle byli oni, «jak dotychczas, politykami w skali sezonowej». Połknijmy z pokorą tę gorzką pigułkę w przeświadczeniu, że pochodzi ona od polityków nie w skali sezonowej, lecz epokowej. Poczekajmy tylko, a przekonamy się do jakich epokowych wyników doprowadzi myśl polityczna, podążająca przedstawionymi powyżej szlakami.

Trzeźwi Ukraińcy wiedzą doskonale, że sprawa ukraińska na terenie międzynarodowym dobrze nie stoi. Na niektórych jego odcinkach w ogóle nie stoi. Oczywiście, od czasu wojny wiele uległo zmianie na lepsze, ale do optymizmu wciąż jeszcze powodu nie ma. Wpływy polskie na świecie są bardzo niewielkie, wpływy ukraińskie znacznie mniejsze. Niedawno jedno z pism emigracyjnych wystąpiło ze skrajnie pesymistyczną tezą, że amerykańska polityka zewnętrzna musi być, jeśli chodzi o «plan prometejski», zawsze i stale prorosyjska, a tym samym wrogo nastawiona do ukraińskich postulatów niepodległościowych. Sądzę, że autor tej tezy przesolił, ale faktem jest, że bardzo wiele musiałoby się zmienić na szerokim świecie, aby Waszyngton zaczął myśleć na serio o

niepodległej Ukrainie. «Ukraińskie Słowo» twierdzi, że sytuacja Polski wcale nie jest lepsza od sytuacji Ukrainy. To jest polityczna ślepotą, zrodzona chyba tylko z antypolskiego urazu. Prawo Polski do niepodległości nie kwestionuje nikt. Najwyżej poddawana jest dyskusji kwestia granic. Te same prawa Ukrainy są kwestionowane na każdym kroku. Nawet George Kennan, który napisał niedawno w emigracyjnym piśmie rosyjskim «Nowyj Żurnał», że w zasadzie Ukraina zasługuje na pełną niepodległość, dodał natychmiast, że jednak z punktu widzenia gospodarczego Ukraina stanowi część składową Rosji w takim samym stopniu, w jakim Pensylwania stanowi część składową Stanów Zjednoczonych. A nie zapominajmy, że Yankesi myślą przede wszystkim kategoriami gospodarczymi i że forma wielkich zgrupowań federacyjnych jest ich ideałem również i dla Europy. Stąd koncepcje Kiereńskiego zawsze będą rozpatrywane w Białym Domu w sposób raczej przychylny. Zresztą ten sam Kennan, będący w Departamencie Stanu rzeczoznawcą od spraw rosyjskich, ostrzega Amerykanów przed mieszaniem się w «separatystyczne konflikty», jakie powstaną po upadku sowieckiego reżimu. «Amerykanie - oświadcza Kennan - nie powinni brać na siebie odpowiedzialności za określone stanowisko w tej dziedzinie».

Czy Ukraińcy nie zdają sobie z tego sprawy? Zdają i to jak najbardziej. Niektórzy tak wzięli na serio flirt Amerykanów z Kiereńskim, że wpadli w nastrój, nieledwie graniczący z paniką. Toć są już i tacy, którzy zakładają możliwość zbrojnego wystąpienia (na Ukrainie) przeciw wojskom amerykańskim, gdyby Waszyngton miał nie uznać postulatów niepodległościowych. Czy w tych warunkach jakikolwiek sprzymierzeniec, a choćby sąsiad, z którym dogadało się do wzajemnej neutralności, będzie do pogardzenia?

Ale jak się tu do takiej c h o ć b y n e u t r a l n o ś c i dogadać? Przekleństwem wszystkich emigracji politycznych jest ich rozbicie. Sądzę, że się na mnie Ukraińcy nie obrażą, jeśli napiszę, iż rozbicie wśród emigracji ukraińskiej jest jeszcze większe niż w innych środowiskach. Nie ulega wątpliwości, że skuteczność ich działania i oddziaływania na opinię międzynarodową byłaby znacznie większa, gdyby nie walka partij i koteryj, wzajemne podstawianie sobie nogi, rozwalanie silniejszych ośrodków. Jota w jotę można powiedzieć to samo o Polakach. Z tych samych powodów rozmowy między nami muszą ograniczać się do publicystycznych dyskusji. Nie można usiąść do okrągłego stołu, nawet, gdyby znaleźli się partnerzy. Bo okrągłego stołu nie ma ani po tej ani po tamtej stronie. Jest kilkanaście czy kilkadziesiąt kawiarnianych stolików, przy których siedzą nabunduczeni i poodwracani plecami ichmoście i, grzebiąc łyżeczkami w gorzkiej emigracyjnej kawie, udają, że robią w wielkiej polityce.

SĄSIEDZKIE KOMPLEKSY I URAZY

Jednak i w tych rozmowach, które się toczą, rzadko kiedy obywa się bez wzajemnego przydeptywania obolałych nagniotków. I trudno, żeby było inaczej, skoro zjawisko nie powstało wczoraj ani przedwczoraj, ale tkwi głęboko w przeszłości. Każdy Ukrainiec nosi w sobie

zadawnione poczucie krzywdy, a sentyment ten podsycany był systematycznie z jednej strony przez literaturę i historię polską pewnego typu, z drugiej - przez pisarzy i historyków ukraińskich. Wśród Polaków panowała się ignorancja, zupełną nieznajomość przemian, odbywających się tuż o miedzę; ukraiński nacjonalizm celowo odgradzał się od wszystkiego, co polskie szczelnym murem zasadniczej wrogości. Wojna 1918-19 zamiast stać się dla strony polskiej źródłem dociekań, dla czego do niej w ogóle doszło, pogłębiła jeszcze bardziej wspólnie wykopaną przepaść. Wreszcie przyszły mity jurnej krzepy, które tyle złego narobiły jednym i drugim: u Ukraińców «doncowszczyzna», u nas - mocarstwowa frazeologia.

Świetne ziarno, rzucone przez romantyków ze «szkoły ukraińskiej», nie znalazło w następnych pokoleniach czujnych i starannych ogrodników; zdrowe tendencje, tkwiące w «bałagulstwie», rozeszły się po kościach; jak przystało na społeczeństwo naskórkowych wrzuseńców, problem ukraiński widziany był głównie od strony swej «malowniczości» i tradycyjnych legend i legendek. No, jakżeby inaczej! Przecież Chmielnicki powstał przeciw Rzeczypospolitej, bo mu Czapliński zabrał «rudą kosę», a Bohun, gdyby Helena Kurcewiczówna nie zapatrzyła się w pięknego husarza, jużby zwołał swych kozaków i rozniósł Chmiela na kopytach. A poza tym: «Ej, ty na szybkim koniu...», «niemasz bo rady dla duszy kozaczej...», «Bat'ku Josype, na armaty wiedz!» i cała reszta poetyckiego sztafażu, za który nie wychodzono. Dopieroż potem zdumienie: - Jakto, to ci Rusini uważają siebie za odrębny naród a nie za «l u d», więc żądają niepodległości? Ale jeszcze i po 1920 roku był czas na odrobienie błędów przeszłości. Był czas, nie było programu. Ani złego, ani dobrego. Naiwność pewnych ludzi była, zaiste, bezgraniczna, ale gdy chodzi o polityków, odpowiedzialnych za losy dużego państwa, naiwność jest gorszym grzechem niż zła wola.

Toż dla byłego, a wieloletniego premiera Rzeczypospolitej jeszcze dziś, po dwunastu latach, nacjonalizm ukraiński wypłynął w y ł ą c z n i e z niemieckiego natchnienia. To tak, jakby pan doktor Składkowski chciał leczyć chorego na gruźlicę przez wycinanie wyrostka robaczkowego. W roku 1937 toczył się w Łucku proces z oskarżenia Stronnictwa Narodowego przeciw tygodnikowi «Wołyń», oficjalnie wydawanemu przez prywatne towarzystwo, a faktycznie, co było publiczną tajemnicą, kierowanego przez wojewodę Józewskiego. Na rozprawie doszło do gorszącego wywlekania prochów Piłsudskiego. Wspomniany już przeze mnie ksiądz prałat Tokarzewski wręcz określił wojewodę jako zdrajcę ideologii Piłsudskiego. Przewodniczący sądu zadał odpowiednie pytanie Waleremu Sławkowi, który występował jako świadek. «Marszałek mianował Józewskiego wojewodą, Marszałek trzymał go na Wołyniu przez cały czas» - odparł lakonicznie Sławek. Nazajutrz «Kurier Wołyński» również i Sławka mianował «zdrajcą».

A w gruncie rzeczy, o co chodziło tym wszystkim obrońcom polskości «zagrożonej na Kresach»? Prawdziwie poważną sprawą, o którą Józewski się przewrócił, była dopiero rewindykacja. Ale kochanym rodakom nie mogło pomieścić się w zakutych łbach, że wojewoda rozmawia z Ukraińcami «po rusku» i chętnie chadza do «Ridnej Chaty», gdzie mu śpiewają przy bandurze pieśni o Bajdzie Wysznewećkim. A ten Bajda... już samo imię wskazuje, że rznął

Polaków. A przy tym, czyż Józewski nie przeforsował na posła do Sejmu Skrypnika, który był adiutantem «tego Petlury»?

Napisałem wówczas wierszyk satyryczny pt. «Lament polskiego patrioty», który mógł ukazać się dopiero po poważnych retuszach. Było to krzywe, ale wiernie odbijające zwierciadło.

*O, ty polski narodie,
Czy ty wiesz, co się dzieje?!
Że już ku twojej szkodzie
zmawiają się złodzieje,
by w masońskim niewodzie
zagmatwać twe koleje
i na manowce zwabić,
oszukać i oszwabić.*

*Bo sprzedał cię wojewoda
przedwczoraj to mieście Łucku
Żydom o długich brodach.
Gadali nie po ludzku,
po chińsku, po kałmucku,
nim stanęła ugoda,
grzebali w długich sakwach,
szeptali: K u k a r a k w a !*

*Wołali: R e v i d e n t o r
p s t r i k t z n d i p a m a ł w a j e m !
A potem hostię świętą
- tak mi się zdaje -
dawali jeść Żydziom
i ponad całym krajem
rzucali czar żydowski...
- Cóż na to pan Składkowski?*

*Widziałem wreszcie, przebóg!
jak wśród masonów ścisku
ukazał się Belzebub
z pianą na rudym pysku,
podskakiwał ku niebu,*

*połączony w uścisku
z sprzedawczykiem Józewskim.
O, mój Królu Niebieski!*

*Tak plugawili żartem
kraj polski, katolicki.
Przyszła do nich Astarte
z długimi cycki,
sprawował straszna wartę
Bohdan Chmielnicki,
pluli i rechotali,
świętość szargali.*

*I znów pejsaty lajdak,
wlaższy na gazet stertę,
głosił, że w i t e r a j d a
r e d i n t a c h p e t e r w e r t e r
że rezun i że B a j d a
złożyli mu ofertę...
Szczekał godziny cale.
Niewiele zrozumiałem.*

*Lecz, choć masońską mową
- niechaj ich gromy trzasną! -
dość mi było pół słowa,
by pojąć całkiem jasno,
że szlachtę zagrodową
i całą polską własność
sprzedano - albowm ślepiec? -
Petlurze i Mazepie.*

*O, panie generale!
Czy słyszysz jako bluźnią
Polsce, Bogu i chwale
i w swych szatańskich kuźniach
szczekają jak szakale?!*

... Dopóki nie za późno,

*oczyść Wołyń z tych zakal:
przyszlij Hauke-Nowaka!!!*

Patriotyczny lament został wysłuchany. Józewski pojechał do Łodzi. W Łucku zainstalował się Hauke-Nowak. Rewindykacja rozszerzała się jak trąd. Coraz więcej złotych krzyży zasługi zdobiło piersi «obrońców polskości».

Wreciona napisał w zacytowanym uprzednio artykule, że Ukraińcy moralnie nie czuli się zbuntowanymi obywatelami. Zastanówmy się spokojnie nad tym oświadczeniem. Jaki był stan faktyczny? Na terenie pięciu województw południowo-wschodnich Ukraińcy stanowili większość. Przygniatającą na Wołyniu i ukraińskiej części Polesia. Zdecydowaną na Podkarpaciu. Większa równowaga była we Lwowskim i Tarnopolskim, głównie dzięki znacznieszemu procentowi ludności miejskiej. Stopień uświadomienia narodowego - bardzo nierówny. Najwyższy w b. Galicji, najniższy - na Polesiu. Niewątpliwie przy mądrej - jeśli kto woli: sprytnej - polityce można było w ciągu dwudziestu lat część chłopów poleskich i wołyńskich spolonizować. Ale pod dwoma zasadniczymi warunkami: posyłając do administracji, szkolnictwa, handlu element najwartościowszy i dobrze rozumiejący złożoność problemu, oraz systematycznie podnosząc poziom gospodarczy najbardziej zacofanych regionów Polski B. I jedno i drugie było w ówczesnych warunkach marzeniem ściętej głowy. Żywiolowego procesu ukrainizacyjnego «Rusinów» i «tutejszych» nawet Mahomet nie potrafiłby zatrzymać.

Ukraińcy halicycy ogłosili w roku 1918 niepodległość i doszło do walki o Lwów. Ukraińcy naddnieprzańscy również ogłosili niepodległość i doszło do walki o Kijów. Jedni i drudzy przegrali. Ale niepodległości nie wyrzekli się. Skoro program federacyjny zawalił się zarówno na skutek klęsk wojennych, jak i zupełnej niedojrzałości obydwu narodów do wprowadzenia w rzeczywistość tej idei, Rzeczpospolita Polska miała do wyboru trzy drogi. Ogłoszenie szerokiej autonomii przy zrównaniu w prawach miejscowej ludności polskiej i ukraińskiej. W tym wypadku moralna sytuacja Ukraińców, idących do podziemia i strzelających do Polaków, byłaby zupełnie inna. W tym wypadku - naturalnie przy dotrzymaniu przez nas owej autonomii - walka Rzeczpospolitą byłaby robotą w stu procentach prosowiecką i samobójstwem nawet ze stanowiska Ukrainy Sobornej.

Na drogę, prowadzącą w kierunku wręcz odwrotnym, weszlibyśmy, gdyby ster państwa znalazł się na stałe w rękach Stronnictwa Narodowego. Ta droga - to program Giertycha. Nie ma Ukraińców, są Rusini, których trzeba odciąć od kontaktu ze Wschodem, narzucić im alfabet łaciński, związać mocno z kulturą polską, aż wreszcie zaczną patrzeć na Warszawę tak, jak patrzą Szkoci na Londyn, lub Bretończycy na Paryż. Program o tyle dobry, że w razie jego zrealizowania załatwiał sprawę raz na zawsze. O tyle zły, że łatwiejszy do zrealizowania na księżycu, niż - powiedzmy - w Kopyczyńcach.

Rzeczpospolita poszła drogą trzecią, której na imię: zupełny bałagan. Ideowy, polityczny, administracyjny. Od wypadku do wypadku, od pomysłu do pomysłu, od wojewody do wojewody. Program kresowy tworzony był przez miejscowych wojskowych, komisarzy policji, starostów, a często po prostu przez przodownik w policji i starszych sierżantów KOP-u. Panowie w Warszawie budzili się od czasu do czasu na odgłos strzałów w Gródku Jagiellońskim lub na odbłask pożarów w majątkach polskich pod Lwowem. Słynna pacyfikacja, po dwudziestu latach nazwana przez Sławoja po wersalsku «bezkrwawą», przyszła w chwili, gdy trzeźwiejsza część społeczeństwa ukraińskiego, przerażona skutkami masowej akcji sabotażowej, zaczęła nawoływać do opamiętania. Prawdziwą pacyfikację można więc było przeprowadzić bez dragonad, w rozmowach z Ukraińcami. Chciano zgnieść podziemie, a uczyniono wszystko, by zyskać mu nowych zwolenników.

To są wszystko biadania po niewczasie, ale jednak konieczne, bo jeśli ma dojść do jakiegoś porozumienia, Polacy muszą zrozumieć psychiczne nastawienie strony przeciwnej. Nie może być skutecznego leczenia urazów, jeśli się nie zna ich przyczyn.

Wreciona pisze o «odpowiedzialności historycznej». Tak, ona również istnieje. Ta odpowiedzialność historyczna istnieje i działa również i w sporze polsko-ukraińskim.

Wychowaliśmy się na tym, że, jak mówi poeta, epoka jagiellońska była «złotym wiekiem pogody ludów» Rzeczpospolitej, dumni jesteśmy z dzieła unijnego, a przecież po tamtej stronie barykady unia przedstawiana jest jako nadużycie i oszustwo, jako kres niepodległości i zamknięcie dróg harmonijnego rozwoju narodowego. Gdzie jest prawda, kto ma rację? Jak zwykle, prawda leży pośrodku.

Wielkie Księstwo nie było państwem jednolitym narodowo. Ruszcząca się szybko dynastia złączyła pod swym kołpakiem poza Litwą historyczną, dzisiejszą Białoruś i Ukrainę, oraz szereg ziem, które wcześniej padły ofiarą imperialistycznej Moskwy i których ludność wchłonięta została bez reszty przez naród rosyjski. Gdy za Olgerda państwo litewskie sięga niemal do rogatek miejskich Moskwy, już za jego prawnuków nie tylko Kozielsk, Siewiersk, Drohobuż, ale nawet Smoleńsk i nieco później Połock znajdują się pod ciężką ręką carów moskiewskich. Zwycięstwa Batorego i Wazów zahamują i odrzucą ten pochód ku Wschodowi. Nieprzeprowadzenie na czas rekonstrukcji państwa Jagiellonów, bo Hadziacz był spóźniony o dobre kilkadziesiąt lat, powoduje wojny kozackie, Wielką Ruinę - i historyczna walka jest przesądzona na rzecz Moskwy, przekształcającej się właśnie w imperium rosyjskie.

Związek Księstwa z Polską miał sporo stron ujemnych, o których nie miejsce tu mówić szczegółowo. Większość ukraińskich historyków wyolbrzymia je, wielu historyków polskich grzeszy tendencją odwrotną. Że sprawa jest mocno skomplikowana i tylko bezstronna rewizja historyczna mogłaby oddać Bogu co boskie i cesarzowi co cesarskie, niech zaświadczy fakt, iż najbardziej zainteresowani: Ukraińcy, Białorusini, Litwini - nie mogą po dziś dzień pogodzić się co

do wielu zagadnień, przypisując sobie pierwsze miejsca w minionym koncercie i zgłaszając się po lwią część historycznego spadku. W jednym są zgodni - w negatywnej ocenie trzywiekowego współżycia z Polską. Próby retrospektywnej rekonstrukcji «ciągów» dziejowych mają wartość względną, bo nigdy nie ma się w ręku wszystkich elementów. Ukraińcy w swych rozważaniach lubią jednak dywagować na te tematy i opisywać, co by się stało, gdyby Ukraina nie połączyła się w końcu XIV wieku z Polską. Gdyby... Kaby da kaby, tak wo rtu roslib griby, i byłby to nie rot, a cały agorot! No cóż, popuszczę i ja wodzów poetyckiej fantazji i oświadczę, że jednak w ostatecznym rozrachunku wyniki nie były najgorsze. Nie będę powtarzał truizmów o kulturalnej roli Polski na Wschodzie. Negować ją w całości mogą jedynie ludzie, o których powiedziałem, że obolałe nagniotki nie pozwalają im rozumować spokojnie. Chodzi mi o co innego. Postawię mianowicie twierdzenie, które zresztą nie jest moim wynalazkiem, że mapa etnograficzna na olbrzymiej przestrzeni między Bugiem a Dońcem od wschodu i Dźwiną od północy wyglądałaby dziś zupełnie inaczej, gdyby nie Unia Horodelska, a później Lubelska. Ryzykowne? Postarajmy się udowodnić.

Dzięki małżeństwu Jadwigi z Jagiełłą podcięte zostały korzenie potęgi krzyżackiej. W świetle nowszych badań historycznych okazuje się, że inicjatywa tego związku wyszła nie tyle od panów, małopolskich, jak dotychczas sądzono, co od bojarów litewskich, co niewątpliwie świadczy, że zdawali sobie jasno sprawę z takich rzeczy, z jakich nie zdaje jej sobie niejedyn «polityk» emigracyjny. Można sobie łatwo wyobrazić, co by się stało, gdyby Niemcy utrzymali Żmudź na stałe w swoich rękach. Powstało by potężne państwo teutońskie od Noteci po Zatokę Fińską.

Z narodu litewskiego zostałyby strzępy. Białoruś znalazłaby się w kleszczach niemiecko-moskiewskich już w wieku XV i nolens volens musiałaby schronić się w cieniu «bielokamiennoj». Polska spadłaby do roli wasalnego państewka. Mazowsze i Kujawy pod krzyżacką ostrogą. A Ukraina? Czy zdana na własne siły obroniłaby się Półksiężycowi od południa, Moskwie od północy? Przed Moskwicinami Wielkie Księstwo bronić się samo nie umiało. Ani za Iwanów i Wasylów, ani za Romanowych. Były zwycięstwa, jak pod Orszą, ale w ciągu stulecia zaledwie ziemia po ziemi, miasto po mieście wpadały jak dojrzałe gruszki do podstawionej czapki Monomacha. Dopiero Unia Lubelska odwróciła kolej rzeczy. Nie spostrzeżono niebezpieczeństwa tatarsko-tureckiego i książęta ruscy, wówczas jeszcze nie spolszczeni, nie tylko nie udzielili pomocy Polsce, gdy usiłowała utrzymać się w Kili i Białogrodzie, ale czynnie, z bronią w ręku przeciwdziałali próbom ratowania Genuieńczyków na Krymie. Wampir tatarski, który tyle krwi wyssał później z narodu ukraińskiego, nie został zlikwidowany na czas. Sicz Zaporoska - przy całym szacunku dla jej cnót wojennych - umiała jedynie prowokować wojny z Turcją w najmniej odpowiednich chwilach. Ukraińcy mogą mi na to odpowiedzieć, że bitwa pod Chocimem - jedna z najważniejszych w historii Europy, choć głucho o niej w zachodnich annałach - wygrana była dzięki pomocy kozackiej. Słusznie, ale czy wygrałby ją Konaszewicz bez Chodkiewicza i Lubomirskiego?

Miron Korduba postawił kiedyś tezę, że granice etnograficzne ukraińsko-rosyjska i białorusko-rosyjska ustaliły się dość dokładnie na linii granic Rzeczypospolitej sprzed Andruszowa, za co dostał wielkie zmywanie głowy od innych ukraińskich historyków. A jednak... Gdyby nie związek Księstwa z Polską, Moskwa wdarłaby się na ziemię białoruskie i ukraińskie znacznie wcześniej i miałyby czas na dokonanie większych zniszczeń, niż dokonała. I znów słyszę odpowiedź: Potrafił stary Chmiel wyrzucić Lachów z Ukrainy, dałby rady i Moskalom. Albo: Nie udało się Petersburgowi narzucić sztancy wszech-rosyjskiej w wieku XIX, gdy Rosjanie kulturalnie mogli imponować wielu Ukraińcom, tym bardziej nie daliby rady w wiekach poprzednich. Otóż Moskwa działałaby znacznie sprytniej i skuteczniej, niż Polacy. Nie miałyby przeciw sobie patriarchy konstantynopolitańskiego i Porty Otomańskiej, ani obciążeń w postaci Jezuitów i Żydów. Wyłuskiwałyby miasto po mieście, powiat po powiecie. A opory miejscowej ludności... Przypomnijmy sobie losy Tweru, Wielkiego Nowogrodu, Pskowa.

Po co te wszystkie rozważania? Bo była mowa o odpowiedzialności historycznej. Więc tak! - Polska popełniła wiele błędów, pomyłek, grzechów nawet. Nie wpadajmy tylko w powszechną przesadę i nie mierzmy tamtych czasów miarką dzisiejszą. Już kiedyś proponowałem, by zechciano porównać zachowanie się Polaków na Ukrainie w iluż wypadkach spolszczonych Rusinów! - z zachowaniem się Anglików w Irlandii, Niemców w Zachodniej Słowiańszczyźnie i Prusach, Francuzów w Katalonii, dokąd przyszli jako sprzymierzeńcy, Węgrów w Słowacji... Jeszcze nie wypadniemy tak źle!

Grzechy grzechami, ale trzystoletni kontakt z kulturą zachodnią, idącą wprawdzie nie tylko przez Polskę, ale głównie przez nią i z niej, to również nie byle co. Bo - jak słusznie w swym zarysie literatury ukraińskiej pisał Bohdan Łepkij - Ukraina dawała Polsce wielkie bogactwa i ludzi, Polska dawała Ukrainie idee.

Ale, niestety, historia obydwu narodów pisana była w czasie, gdy nad Ukrainą i Polską stała czarna noc niewoli. Nie najwłaściwsza to atmosfera dla bezstronnych badań i beznamiętnych sformułowań. I tak oto dla nas przewodnikiem po odwiecznym poboju stało się «Ogniem i mieczem», dla nich - podrzucony przez tragicznego c h o c h ł a «Taras Bulba».

Więc u nich powstał kompleks krzywdy, u nas kompleks wielkopańskiego zdziwienia, że ktoś, kto otrzymywał same niemal «dobrodziejstwa», ośmiela się zgłaszać pretensje. Nauka historii w szkole kompleksu tego nie łagodziła, choć w niektórych podręcznikach przyczyny powstań kozackich przedstawiane były dość przyzwoicie. Ale większość młodzieży odklepywała historię, byle dalej, a na wyobraźnię działali Sienkiewicz, Małaczewski, Kossak-Szczucka. Inteligencja obydwu społeczeństw właściwie kontaktu ze sobą nie miała. Na Wołyniu w każdym razie polskie środowiska miejskie żyły w szczelnie zamkniętych ghektach, na co inicjatywa nielicznych jednostek wpłynąć nie mogła. A żyli przecież jedni od drugich na wyciągnięcie ręki. Spotkali się też na wyciągnięcie ręki w latach wojennych, ale wtedy w rękach były noże i karabiny.

Poczucie krzywdy i rozdrażniona ambicja narodowa. Przeciętny Ukrainiec nie czytywał pism wschodoznawczych, ani książek takich historyków, jak Bobrzyński, czy Konopczyński. Natomiast w każdym kiosku ulicznym znajdował «Ilustrowany Kurier Codzienny» i «Słowo Lwowskie», a w nich artykuły, które już samymi nagłówkami raniły jego dumę narodową, upokarzały i budziły nienawiść. Cenzura dbała o poprawny ton prasy w stosunku do Niemiec, bo mieliśmy pakt nieagresji. Ale żaden cenzor nie położył kresu dzikiej hecy antyukraińskiej, prowadzonej systematycznie przez «Ikaca», żaden prokurator nie wystąpił przeciw codziennemu poniewieraniu godności tych, od których żądało się przecież, aby byli lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. A nienawiść, narastająca latami, sączona kropla po kropli od najwcześniejszych lat, zwykła wyładowywać się właśnie tak, jak się wyładowała podczas wojny.

Stąd dalsze kompleksy i urazy. Brak własnej państwowości, zapóźnienie w osiągnięciach kulturalnych w stosunku do innych narodów, przy jednoczesnym poczuciu własnej wartości i wielkich możliwości w innych, pomyślniejszych warunkach, musiał podniecać wyobraźnię i dawać asumpt do podrabiania antenatów, świetniejszych niż byli w przeszłości. Społeczeństwa, zbyt długo żyjące w stanie tłumionego gniewu, dobrze znają te fenomeny. Więc w broszurkach propagandowych, przeznaczonych dla zagranicy, pisało się, że Szewczenko jest pierwszym poetą Słowiańszczyzny, a czumacy stanowili potężną organizację, na miarę bałtyckiej Hanzy. Zjawisko psychologicznie dobrze rozumiałe, jego skutki - raczej negatywne.

Wreszcie podejrzliwość. Gdy się od paruset lat ponosi stałe klęski, gdy się jest wielokrotnie wywodzonym w pole, instynktowna nieufność słabszego osiąga stopień chorobliwego natężenia, przeradza się właśnie w skrajną podejrzliwość. Stąd przy całej wrażliwości na każde dobre słowo i przyjazny gest, Ukraińcy instynktownie otaczają się ostrokołem nieufności: - «A nuż to podstęp, a nuż znowu nas oszukają...» To dlatego, gdy ze strony polskiej zjawia się próba lojalnego dogadania się, pierwsza reakcja jest następująca: «Oho, chcą nas ugłaskać, dostać w swoje ręce, wykorzystać i „zostawić w durniach”». Znow reakcja psychologicznie uzasadniona, choć niekiedy wręcz denerwująca. Grupa Rosjan w Madrycie urządziła w rocznicę katyńską «panichidę» za «polskich woinow, ubijonnych bolszewikami w Katynie». Odprawiał mszę ksiądz gruziński, wygłosił piękne propolskie przemówienie. Na mszy byli przedstawiciele polskiej kolonii z posłem Rzeczypospolitej na czele. Przecież zbojkotowanie mszy, która nie miała żadnej politycznej wymowy, byłoby zwykłą nieprzyzwoitością. A jednak od razu podejrzliwość: Polacy zwąchują się z Moskalami. A skoro jednocześnie wiadomo, że Rosjanie wyłazą ze skóry, by nie dopuścić do powstania ukraińskiej audycji w radiostacji madryckiej, dalszy wniosek: «Trudności, jakie mamy z audycją, są zasługą wspólnej akcji polsko-rosyjskiej». W rzeczywistości było akurat odwrotnie i Polacy zachowali się w tej sprawie z całkowitą lojalnością wobec Ukraińców. Ale byli na mszy i to wystarczyło.

Naród, walczący od wieków o swój niezawisły byt, co więcej, o prawo do własnej kultury, ba, nawet do nazwy, musi egzaltować się patriotycznie. Polakowi najłatwiej to zrozumieć, bo my również mamy skłonność do przyciskania pedałów, bicia w bębny i trąbienia we wszystkie możliwe

surmy. Do tkliwej łezki i patetycznego frazesu. Ta ukraińska «naprężoność» jakże bruźdząca w literaturze i publicystyce, w niemniejszym stopniu utrudnia zbliżenie i porozumienie, ponieważ wpływa hamująco na samokrytycyzm i to pomimo, że Ukraińcy są narodem o bardzo żywym poczuciu humoru. Ale bywają sytuacje, w których nawet humor zawodzi.

Inną niebezpieczną cechą w działaniu politycznym - też nie obcą Polakom - stanowi łatwość przerzucania się z jednego nastroju w drugi, z jednej skrajności w drugą, zazwyczaj jeszcze większą. Ciągła huśtawka między niczym nieusprawiedliwionym optymizmem i najczarniejszym pesymizmem. «Ukraina została uznana w Organizacji Narodów Zjednoczonych za państwo niezależne o własnej reprezentacji zagranicznej - dobra nasza, teraz tylko poczekać aż przewróci się Stalin». «Prasa amerykańska pisze o oddziałach «upowców», przedzierających się zbrojnie do Bawarii - cudownie, cały świat o nas wie». Prasa amerykańska wyłapuje każdą sensację, a na drugi dzień o niej zapomina. Emigrantom, marzącym o rychłym powrocie do ojczyzny, zbytnio zakręciło się w głowie, więc tym silniejszy jest katzenjammer. I już zapowiada się partyzantkę przeciw Amerykanom, gdy ci dotrą na Ukrainę.

Czas byłby najwyższy, aby Polacy zrozumieli, że Ukraińcy są odrębnym narodem o takim samym prawie do samoistności, jakie przysługuje każdemu innemu narodowi. Że szereg cech ujemnych, które nas rażą, albo dają się nam dotkliwie we znaki, powstał na skutek tragicznej historii i nienormalnego rozwoju kultury narodowej, stale krępowanej przez nieprzyjazne okoliczności. Że wreszcie zły to patriota, który sąsiadowi zza miedzy odmawia takich samych uczuć patriotycznych, choćby z tym sąsiadem miał sto razy na pieńku. A przede wszystkim trzeba skończyć z fałszywym jaśniepaństwem, które widzi w innych narodach «hetki-pętelki» tylko dlatego, że odegrali mniejszą rolę w historii, albo nie mają Kopernika i Szopena. Bo prawdziwe «państwo» oparte na spokojnej świadomości własnych walorów, nie wyżywa się w śmiesznej pysze, ani wzdurliwej niechęci. Te uczucia cechują tylko «nuworiszów».

Ukraińcom zaś wyszłoby na dobre, gdyby przeprowadzili chociaż częściową rewizję swych poglądów na dawną Rzeczpospolitą, a na międzywojenne dwudziestolecie spojrzeli także i od strony polskiej. Ja tu nikogo nie chcę rozgrzeszać, ani niczego nie usprawiedliwiać, chcę po ludzku dojść do wytłumaczenia każdego zjawiska. Polacy też przez stokilkadziesiąt lat znajdowali się w nienormalnej sytuacji, a obciążeń stąd powstałych tak łatwo się nie usuwa. Ukraińcy dobrze wiedzą, co to jest system rosyjski, zwłaszcza system rosyjski w «poprawionym» sowieckim wydaniu; z systemami niemieckimi również mieli okazję zapoznać się. Bo jednak, bo mimo wszystko a wolno mi to chyba po wypowiedzeniu tylu gorzkich słów pod adresem własnej ojczyzny podkreślić fakt, że ekscesy antyukraińskie działy się w ramach administracyjnego i politycznego bezhołowania, a nie sztywnego, konsekwentnego systemu, świadczy, że - Bogu dzięki - «nie dorośliśmy» ani do moskiewskiej tyranii, ani do zimnego teutońskiego okrucieństwa.

Więc popatrzmy sobie w oczy i przyznajmy nawzajem, że ani jedni nie są tylko «rezunami», jak

tego chce pan Zagłoba, któremu bielmo przesłoniło rzeczywistość, ani drudzy tylko «łackimi zajmancami», jak tego chce ukraiński nie mniej ślepy Zagłobienko, czy Zagłobiuk.

HAŁYCYNA CZY MAŁOPOLSKA WSCHODNIA?

Tamto były wszystko orzeszki, teraz dotarliśmy do prawdziwego orzecha. Hałycyna czy Małopolska Wschodnia? Czytelnik już zapewne zauważył, że stale używam w tym artykule nazwy Ziemia Czerwieńska. W ten sposób nie urażam uczuć narodowych żadnej ze stron, a z historią jestem w zgodzie, skoro określenia: Chrobaci Czerwoni, Grody Czerwieńskie, Ruś Czerwona - mają «a l k u r n i ę» niebylejaką, bo tysiącletnią.

Nie będę wdawać się w akademickie rozważania, co to za jedni byli ci Chrobaci, ani kto zamieszkiwał te ziemie w czasie, gdy, jak zanotował Nestor, książę Włodzimierz «wybrał się na Lachy». W zaraniu naszych dziejów Grody Czerwieńskie przechodziły kilkakrotnie z rąk do rąk, faktem jest jednak, że już od drugiej połowy XI-go wieku istnieją tu niezależne księstwa ruskie. Polska władza państwa ustali się tu dopiero w wieku XIV. W średniowieczu granica etnograficzna polsko-ruska odpowiadała mniej więcej linii Wieprza w jego górnym i środkowym biegu i bardziej ku południowi - Wisłoku. Lublin i Sandomierz były wówczas miastami prawie pogranicznymi.

Od Kazimierza Wielkiego zaczyna się intensywna kolonizacja zarówno Ziemi Czerwieńskiej, jak nieco później Podola, Wołynia i Kijowszczyzny. Logicznie kierowała się ona ku obszarom żyzniejszym, stąd procent Polaków nprz. na wschodnim Wołyniu, w Żytomierszczyźnie i Zasławskim, był wyższy niż w Powiatach nadbużańskich. Ale proces ten, jako spontaniczny i niekontrolowany przez państwo, ani poddany przemyślanemu systemowi, przynosił wiele niespodzianek. Polonizowały się rody książęce, bojarskie i szlacheckie, natomiast mieszczanin, a zwłaszcza chłop trwał przy języku i religii. Z drugiej zaś strony kolonista polski z łatwością ruszył się, jeśli nie był szlacheckiego pochodzenia. Tak trwało aż do naszych czasów, choć oblicze społeczne procesu było już zupełnie inne. Niedaleko od prawdy znalazł się ten, kto oświadczył, że granica etnograficzna polsko-ukraińska przechodzi przez łoża małżeńskie. Niejeden Polak, który skoczyłby z pazurami cło oczu, gdyby mu to powiedzieć, nosił nazwisko wyraźnie ukraińskiego pochodzenia; kiedy indziej nazwisko szczerego Ukraińca wskazywało niemniej wyraźnie na mazurską proveniencję. Wreszcie zjawisko jedyne w swoim rodzaju: rodziny dwujęzyczne i dwuobrzędowe, rozchodzenie się dróg narodowych dzieci tego samego małżeństwa - Szeptyccy, Antonowicze, Siedleccy, Tokarzewscy. Ale podczas, gdy w ciągu wieków żywioł polski na Ziemi Czerwieńskiej, Chełmszczyźnie i Podlasiu wzmacniał się, katastrofy historyczne powodowały jego gwałtowne kurczenie się na terenach bardziej wysuniętych ku wschodowi. Pierwszy cios przyszedł wraz z wojnami kozackimi, drugi w epoce rozbiorowej. Powstanie listopadowe i styczniowe dokonały nowych wyrw. Tu i ówdzie chłopały i prawosławiły się resztki szlachty zagrodowej, a w okresie «chłopomańskim» przyszło zjawisko reukranizacji wielu rodzin spolszczonych już od

pokoleń. Mimo to jeszcze w roku rewolucji bolszewickiej mniejszość polska na wschód od Zbrucza liczyła około miliona głów, zaś jej rola społeczna i kulturalna była niewspółmiernie doniosła do jej liczebności. Nie wdając się w tej chwili w dalsze rozważania, stwierdzić wypada, że obecność tych Polaków na Ukrainie prawobrzeżnej powstała dzięki metodom, różniącym się bardzo mocno od stosowanych przez Niemców wobec Słowian, czy przez Rosjan wobec ich mniejszości narodowych.

Gdyby w roku 1920 Rosja poniosła klęskę totalną i nastąpiło rozgraniczenie niepodległej Ukrainy z Polską na podstawie Konwencji Warszawskiej, kto wie, czy z biegiem czasu nie doszłoby do częściowej przynajmniej wymiany ludności, co - zakładając, że tyluż Ukraińców wyemigrowałoby za Zbrucz, ilu Polaków przybyło z Podola i Naddnieprza - dałoby żywiołowi polskiemu w Ziemi Czerwieńskiej wyraźną przewagę i poważnie wzmocniło go na Wołyniu. Wypadki potoczyły się inaczej, powstała typowo sowiecka tragifarsa z autonomicznym terytorium dokoła Marchlewska, zaś druga wojna światowa dokonała dzieła zniszczenia również między Zbruczem i Sanem. Aby w tym okresie nie zabrakło żadnej ciemnej barwy, komuniści zniszczyli żywioł ukraiński na Chełmszczyźnie, Łemkowszczyźnie, w powiatach przysańskich. Siedzimy w tym samym worku, oni ze swą niepodległością trzydziestoletnią, my - z siedmioletnią.

Sprecyzujmy obydwie skrajne punkty widzenia. Ukraińcy powiadają: «Ziemia Halicka jest nasza od wieków; utraciliśmy ją na rzecz Polski, aleśmy nigdy z niej nie zrezygnowali. Była okupacja polska, potem austriacka, znowu polska, wreszcie sowiecka. Ale oblicze tej ziemi, mimo polonizacji i opanowania wielu miast przez polską ludność napływową, pozostało ukraińskie. Gotowi jesteśmy w imię zgody sąsiedzkiej przystać na obecną granicę i to jest już z naszej strony poświęcenie, gdyż w ten sposób tracimy Chełm, Hrubieszów, Jarosław i Przemyśl. Ale to maksimum, na jakie możemy się zgodzić. I jeśli chodzi o tę sprawę, wszelkie powoływanie się na rozumne kompromisy jest nadaremne».

Polacy odpowiadają: «Małopolska Wschodnia była najpierw nasza. Utraciliśmy ją za pierwszych Piastów, odzyskaliśmy za ostatniego. Odtąd nieprzerwanie należała ona do nas, nawet wówczas, gdy znaleźliśmy się pod zaborem austriackim. Lwów jest polski. Podnieśliśmy go z gruzów w wieku XIV i stał się najwierniejszym miastem Rzeczypospolitej. Nasze prawa historyczne i moralne nie podlegają wątpliwości. To, że nas na tej ziemi częściowo wymordowano, a resztę wysiedlono siłą, niczego nie przesądza. Przeciwnie, za tę krzywdę należy się nam zadośćuczynienie. I wreszcie nie możemy zrezygnować ze wspólnej granicy z Rumunią. Non possumus!»

Zanim podam mój osobisty punkt widzenia - a z góry oświadczam, że żadne z tych skrajnych stanowisk do mnie nie przemawia trzeba z lekka przeegzaminować racje historyczne, etnograficzne i moralne, wysuwane przez pieniactujące się strony.

Co od razu uderza we wszystkich polemikach tego rodzaju, to fakt, że argumenty dobierane są

zawsze według własnej wygody. Raz wysuwa się rację historyczną, kiedy indziej etnograficzną. Wyjątkowo tylko zbiegają się one ze sobą. Ale historia i polityka to nie brydż, w którym wybiera się raz kiery, a kiedy indziej piki, bo tak graczowi wypada z układu kart. Prawo bezsporne i w y ł ą c z n e do jakiejś ziemi posiada się tylko wówczas, gdy wszystkie racje działają na naszą korzyść. Jeśli n i e - powinno się myśleć o kompromisie. Oczywiście, istnieje jeszcze jedna racja. Racja silniejszego w danej chwili historycznej, racja faktów dokonanych. Ale i Ukraińcom i Polakom nie bardzo przystoi uciekać się do takich racyj.

Polaków na wschód od Sanu nie ma, a jeśli są, to jakieś mizerne strzępy. To jest fakt dokonany. Pisałem już kiedyś, że nie wiadomo, czy nie powstaną inne fakty dokonane, czy w latach definitywnych rozstrzygnięć nie spotka to samo Ukraińców. Może bowiem dojść do przesiedleń i zsyłek w skali, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Już dziś Lwów jest bardziej miastem rosyjskim niż ukraińskim, bardziej L w o w o m niż L w i w e m. Stwierdzić więc trzeba, że usunięcie Polaków z tej ziemi ma taką samą wartość prawną i moralną, jak w identycznej formie przeprowadzone usunięcie Ukraińców z Chełmszczyzny i Łemkowszczyzny. I gdy skrajni nacjonałiści z obu stron barykady tęsknią do s z t y w n e j granicy, choć nie mogą się co do niej pogodzić, ja będę stał uparcie przy twierdzeniu, że osiągnięcie prawdziwej historycznej ugody będzie możliwe dopiero wówczas, gdy się fakty dokonane przekreśli, wyrządzone krzywdy naprawi, popełnione zbrodnie odrobi.

Jeżeli do terytorium narodowo mieszanego chce się stosować zasadę sztywnej granicy etnograficznej, jedynym rozstrzygnięciem słusznym może być przesiedlenie ludności. Obliczyć ile jest jednych, ile drugich, i podzielić sporny obszar proporcjonalnie. Przyzna mi każdy, znający jako tako stosunki narodowościowe na Ziemi Czerwieńskiej, w chwili wybuchu minionej wojny, że granica nie wypadalaby wówczas na Sanie. Określając granice narodowego terytorium, Ukraińcy czynią to według najdalszego zasięgu swego osiedlenia, koincydującego mniej więcej z granicą zachodnią księstwa halickiego w średniowieczu. Dążą oni do suwerenności niepodzielnej i nie życzą sobie nosić obywatelstwa polskiego. Pięknie, ale również Polacy mają prawo nie życzyć sobie obywatelstwa ukraińskiego, które im proponuje Jewhen Wreciona, nie wiem czy w zgodzie z większą ilością swych rodaków na emigracji.

Więc jeśli prawo etnograficzne, to dla wszystkich, a jeśli sztywne granice, to wyznaczone proporcjonalnie. Oczywiście, według stanu z roku 1939, ho wysiedleńcy zechcą powrócić, a głosu umarłych i pomordowanych po obu stronach również należy wysłuchać.

Spór o Ziemię Czerwieńską nie jest jedynym sporem granicznym ani dla nas, ani dla Ukraińców. Jakie prawa historyczne mają Ukraińcy do Besarabii i Bukowiny? Mniejsze od rumuńskich. Etnograficznie są one usprawiedliwione tylko do części tych terenów, ale wówczas Rumunia może zgłaszać pretensję do skrawka Zadniestrza. Jakie prawa historyczne ma Ukraina do Kubania? Żadnych, jeśli nie wywoływać z mroku dziejów księstwa Tmutorokańskiego, tzn.

dzisiejszego Temriuka i Tamania. Co prawda, do północnego Kubania nikt praw historycznych zgłaszać nie może, gdyż nieboszczycy Nogajcy głosu nie mają. Ale co z Kubaniem południowym, z dorzeczem Urupu, Białej i Łaby, z Armawirem, Majkopem i Neftiogorskiem? Co wreszcie z pogórzem Stawropolskim, nie tak dawno jeszcze domeną Kabardyńców? Czy górskie ludy Kaukazu nie będą mogły zgłosić się z żądaniem oddania im ich odwiecznych dziedzin, do których pierwszy ukraiński kolonista przybył zaledwie przed kilkudziesięciu laty? Pamiętam, pamiętam ostre starcia między Kaukazczykami i Ukraińcami na ten temat na terenie warszawskiego klubu «Prometeusz». Do tych zjem Ukraińcy nie mają najmniejszych praw historycznych i moralnych, gdyż ich zjawienie się tam było funkcją rosyjskiego imperializmu. Mają natomiast prawa etnograficzne. Czy i tu rozsądny kompromis nie byłby wskazany?

«Ukraińskie Słowo» napisało mi ironicznie, że zamiast martwić się o Majkop i krymski Dżankoj, lepiej pomyśleć o Szczecinie i Wrocławiu. Nie pierwszy to raz ukraińscy publicyści oskarżają nas o hipokryzję, wskazując na rozbieżne jakoby stanowiska w sprawie Ziemi Czerwieńskiej i Pomorza, oraz Śląska. Otóż, istotnie stanowiska są zupełnie różne, bo też i zagadnienia te nic wspólnego ze sobą nie mają. Przed wojną żaden Polak o zdrowych zmysłach pretensji do granicy na Odrze i Nysie nie zgłaszał. Mogliśmy wskazywać na całą nienaturalność sytuacji Gdańska, upominać się o Śląsk Opolski, Warmię i Pojezierze Pruskie, ale i nic ponadto.

Wojna i okupacja niemiecka zmieniły wszystko. Niemcy udowodniły światu, a i dziś to potwierdzają na każdym kroku, że tak długo, dopóki dwa ramiona, którymi głęboko wdarły się w krwawe trzewia Słowiańszczyzny, nie zostaną odcięte na stałe, nie zarzucą swych snów o «Drang nach Osten». A są to sny nie tylko o mazowieckim piaseczku i lubelskiej borowinie, ale również o chersońskim czarnozemie, krzyworoskiej stali i węgłu donieckim. Byłoby niesprawiedliwością wystawiać dzisiejszym Niemcom ciężki rachunek za Henryka Lwa, Albrechta Niedźwiedzia i Mistrzów Krzyżackich, gdyby nie fakt, że nie tylko w Warszawie, Oświęcimiu i Majdanku, ale również w Kijowie, Połtawie i Marjupolu wykazali, że w całości ten rachunek żyrują i biorą za niego pełną odpowiedzialność. Jeśli ktoś nie chce wyrzec się zbójceckiej części swej historii narodowej, to mu się tę część wykrawuje żywcem z jego własnego terytorium². Etnograficznych praw do Wrocławia i Szczecina Polska nie miała, historyczne prawa uległy przedawnieniu, ale sami Niemcy je odnowili, moralne zaś wypisane zostały dymami krematoriów na nierychliwym ale sprawiedliwym niebie. I dlatego Wrocławia ze Lwowem, jak Szczecina i Gdańska z Wilnem zestawiać nie należy.

Tu jeszcze jedna uwaga na marginesie. Niezależnie od tego, jak zostanie rozstrzygnięty spór o Ziemię Czerwieńską, w interesie narodu ukraińskiego, w interesie całej Europy Środkowo-Wschodniej leży utrzymanie granicy na Odrze, jako najlepszej gwarancji, że stary prusko-teutoński

² Zgadając się z autorem co do meritum uważamy jego uzasadnienie praw polskich do Ziem Odzyskanych i za zbyt emocjonalne a przede wszystkim za zbyt wąskie. Nie można rozpatrywać tej sprawy bez uwzględnienia Europy jako całości, bez wizji jej regeneracji i uporządkowania. Mówiliśmy już o tym w Berlinie jesienią Ub. roku (Kultura” nr i powrócimy do tego problemu w najbliższej przyszłości (Red.).

duch ulegnie osłabieniu i z czasem całkowitej likwidacji. Toteż bardzo dziwnie wyglądają ci Ukraińcy, którzy z nieukrywaną satysfakcją wróżą rychły marsz niemiecki na c h Breslau, Stettin u n d Dantzig. Równie dziwnie, jak ci Polacy, którzy radziby po wieki wieczne widzieć rosyjskich generał-gubernatorów w Kijowie i Odessie.

Wracajmy do sprawy zasadniczej. Trzeba konkretyzować. Wiem, że posypią się na mnie gromy z jednej i drugiej strony, jak zawsze, gdy jakiś wariat uparł się siedzieć okrakiem na barykadzie. Bo cóż to, u licha, za przyjaciel Ukrainy, który nie zgadza się na granicę na Sanie, i cóż to za Polak, który nie żąda granicy na Zbruczu? Ziemia Czerwieńska historycznie, etnograficznie i kulturalnie nie jest ziemią ukraińską tylko, ani Polską tylko. Jest ziemią w s p ó l n ą, o wspólnych zazębiających się o siebie osiągnięciach cywilizacyjnych i kulturalnych, i wspólnej sześćsetletniej historii. Od wieków lwowska katedra łacińska i kaplica Boimów i Świąty Jur i cerkiew wołoska stoją obok siebie i przez przyszłe wieki zgodnie stać obok siebie powinny. Prochy polskie i ukraińskie przemieszały się ze sobą na cmentarzach i niech nikt nie próbuje oddzielić ich od siebie chociażby wymagowaną granicą. Można się nawzajem wymordowywać, jeśli taka wola. Można przeciąć tę krwawą, prawdziwie c z e r w i e ń s k ą ziemię na pół, można raz jeszcze położyć profesorskie podpisy pod niegodnym Europejczyka i chrześcijanina: m y a l b o o n i. Można bić żelazne słupy na Zbruczu lub na Sanie, można wyżenać precz za graniczne miedze tych albo owych. Zobaczmy, czy i o ile wzbogacę się przez to ludzkie dusze i serca. Jedni i drudzy nagrzeszyli ponad miarę, jedni i drudzy cierpią dziś również ponad miarę. Ale jeśli to cierpienie ma być prawdziwą e k s p i a c j ą, Zmusi mu towarzyszyć twórcza myśl historyczna i głębokie czucie moralne, które uczynię, aby to, co było kamieniem obrazy, kością niezgody i zachętą do bratobójczych czynów, stało się zarzewiem porozumienia, współpracy i wspólnego władania tą sama ojczyzną.

Więc nie starcie się dwóch skrajnych stanowisk, nie kompromis graniczny, ani przesiedlanie ludności, nie fakty dokonane, które nazajutrz mogą być obalone przez rywala lub trzeciego mediatora, i nie nowa, nieuchronnie takim rozwiązaniom towarzysząca rzeź. A wreszcie tu chodzi nie o Lwów tylko i nie o to, czy w Husiatynie i Trembowli będzie powiewać sztandar biało-czerwony czy żółto-błękitny. Konwulsje, miotające światem, spychają go do wielkiego konfliktu, z którego wyłoni się coś zupełnie n o w e g o, innego niż było uprzednio. Dla dwóch emigrantów, wygrażających sobie pięściami gdzieś na paryskim czy manchesterskim bruku, kwestia czy jego rodzinne przedmieście będzie nazywało się Lewandówką, czy Lewandiwką, może być najważniejsza. Ale w tych ośrodkach, gdzie ważą się losy ludzkości, taka postawa n i e p o p ł a c a. Tylko ślepiec może się łudzić, że w Waszyngtonie i Londynie będą zadawać sobie trud wnikania w racje narodów, których akcje na politycznej giełdzie są prawie nienotowane, albo notowane bardzo nisko, lub troszczyć się o narodowe postulaty jednego powiatu czy gminy. Ukraińcy skarżą się na popieranie Kiereńskiego przez Amerykanów. Otóż Kiereńskij ma koncepcję - z naszego punktu widzenia złą, szkodliwą, dla nas wrogą - ale ją ma i to w takiej skali, do jakiej przywykł szeroki

rozmach amerykański. Ukraińcy przeciwstawiają tej koncepcji własną niepodległość, a wraz z nią i szereg sporów granicznych. Takie same obciążenia wloką się młyńskim kamieniem, uwiązany u nogi każdej emigracji środkowo- i wschodnioeuropejskiej. Ukraina nie chce federacyjnego związku z Rosją, bo się boi - i słusznie. Ale wielkim koncepcjom trzeba przeciwstawiać również koncepcje w zbliżonej choćby skali, bo rzewnych skarg dwóch pokłóconych obywateli z Lewandówki nikt słuchać nie będzie. Jeśli spory graniczne przeszkadzają zainteresowanym narodom w synchronizowaniu ich działalności politycznej konieczna jest uprzednia likwidacja tych sporów na drodze, prowadzącej do wielkiego programu federacyjnego nie pod kierownictwem Rosji, ale bez niej i poza nią.

Liczyć na to, że wiatry wiejące w Stanach Zjednoczonych zmieniają kierunek same przez się, lub że Waszyngton pójdzie pod wpływem polskiej czy ukraińskiej propagandy na konsekwentny program rozbijania Rosji - raczej nie należy. Gdyby jednak doszło do porozumienia choćby paru narodów, a przede wszystkim porozumienia polsko-ukraińskiego, szanse zainteresowania Amerykanów i n n a, nie rosyjską koncepcją federacyjną wzrosłyby niepomrotnie. Sama Ukraina, jak sama Polska, Rumunia, czy Węgry - to dla waszyngtońskich bussinesmanów żaden kontrahent, zwłaszcza w zestawieniu z Rosją. Minęły czasy, kiedy z kilkoma taczankami i dwustu jazdy można było uganiać się po stepie, i również minęły czasy powersalskiej «bałkanizacji» Europy. UPA może w odpowiednim momencie odrodzić się jeszcze liczniejsza i silniejsza, niż była za poprzedniej wojny, dokonać najbardziej bohaterskich czynów, a nawet postrzelać z kozacką fantazją do Amerykanów, jeśli ci w ogóle na tych terenach się zjawią, ale koncepcji politycznej, która by w Stanach Zjednoczonych przypadła do smaku, to nie zastąpi.

Narody, tak długo bepaństwowe, jak Ukraińcy, czują instynktowną obawę i niechęć w stosunku do pomysłów federacyjnych. To zrozumiałe. Tym, co już wyżyli się suwerennie i państwowo, łatwiej pójść na takie koncepcje, a poza tym działa tu tradycyjna podejrzliwość narodu, tylekroć oszukiwanego i rozczarowanego. Ale Ukraina jako członek federacji, obejmującej kraje Europy Środkowo-Wschodniej, nie powinna żywić obaw, tak daleko idących. Jej potencjał ludzki i gospodarczy, niewystarczający wobec Rosji, byłby w takim układzie dostatecznie wysoki, aby czuła się ona pewną siebie. Niewątpliwie pewniejszą niż w najbardziej nawet demokratycznym sam na sam z Rosją.

Ale żadna federacja nie jest w stare wykluczyć automatycznie konieczności jakiegoś rozgraniczenia, skoro nawet państwo narodowo zwarte musi mieć jakiś podział administracyjny. Ziemia Czerwieńska, jako członek terytorialnie pośredni, powinna otrzymać swój własny statut na podstawie całkowitego równouprawnienia ludności i zachowaniu identycznych form związkowych z Warszawą i Kijowem. Wówczas miałyby pełną szansę stać się pomostem między dwoma narodami i ich cywilizacją i kulturę, zamiast, jak było w czasach ostatnich, przepaścią. Niechby na rogu «bacjarskiej» ulicy zawisły dwie tabliczki - obok siebie, a nie, broń Boże, jedna pod drugą! - «Łyczakowska» i «Łyczakiwska». A na Wałach Hetmańskich można by wystawić pomniki nprz.

hetmana Mazepy i króla Leszczyńskiego. Niech i zakuci w bronz spiskują przeciw Moskwie. Albo nawet pomniki Żółkiewskiego i Chmielnickiego. Byli przecież razem pod Cecorą!

Jak taki statut miałby wyglądać w swoim ujęciu prawnym, tego nie podejmuję się rozstrzygać. Od tego są fachowcy, prawnicy, socjologowie, ekonomiści, i do nich należało by ostatnie słowo. W każdym razie, byłby to obszar dwujęzyczny w szkolnictwie, sądach i administracji, podobnie, jak dwujęzyczne było Wielkie Księstwo Litewskie, a współcześnie Królestwo Belgijskie.

Ale samo oswojenie się z myślą o tak «rewolucyjnym» rozstrzygnięciu konfliktu kosztowałoby i nas i Ukraińców wysiłek, zaiste heroiczny. Trzeba by przeskoczyć przez wszystkie uprzedzenia, urazy i kompleksy, zrezygnować z nacjonalistycznej pychy i zapomnieć o dzielących nas reminiscencjach historycznych. Dlatego właśnie pisałem tyle o podłożu psychologicznym zjawiska, by dotrzeć do samych źródeł choroby. Istnieje jednak jeszcze jedna bolesna sprawa, uprzednio zaledwie dotknięta, a ze stanowiska etycznego najważniejsza. Sprawa, która tylekroć nas dzieliła w przeszłości i rozdzieliła jeszcze bardziej obecnie. Świeżo przelana krew...

«Z KURZEM KRWI BRATNIEJ...»

W toczącej się niedawno dyskusji, której podsumowanie dałem w pierwszych częściach tego artykułu, najwyraźniej określili swe stanowiska wobec tragicznych wydarzeń w latach 1939-45, ze strony polskiej Jędrzej Giertych, ze strony ukraińskiej - Jewhen Wreciona. Pierwszy całą winę obciąża Ukraińców, drugi wskazuje na chronologię faktów.

Stanowisko Giertycha jest nie do przyjęcia, gdyż pisze on takim tonem, jak gdyby rzeź nie była w z a j e m n a. W identyczny sposób wypowiedzieli się w różnych okolicznościach i różnym czasie Tadeusz Piszczkowski, Wojciech Wasiutyński, Władysław Studnicki. A jednak wina jest obopólna i nie zrobimy ani kroku w tej sprawie, jeśli będziemy smutnej prawdzie zaprzeczać.

Giertych podkreśla, że Polacy nie zapłacili Niemcom za Oświęcimy i Majdanki powszechną rzezią ludności cywilnej. Ten argument jest również nie do przyjęcia. Okoliczności bowiem były najzupełniej inne. Analogia byłaby pełna, gdyby Śląsk i Pomorze znalazły się podczas wojny pod okupacją sowiecką i działała tam jednocześnie partyzantka polska i niemiecka. Czy i w tym wypadku nie doszło by do wzajemnej rzezi ludności? Ze strony ukraińskiej spotykałem się często z twierdzeniem, że walki a następnie rzezie zrodziły się z prowokacji sowieckiej. Oddział spadochroniarzy sowieckich przychodził do wsi ukraińskiej i robił «porządek», udając Polaków, albo wycinał ludność polską, udając Ukraińców. Wreciona znów oddaje pierwszeństwo i inicjatywę stronie polskiej. Bo «przed Janową Doliną był Dermań», a wcześniej jeszcze «powszechny terror Polaków przeciw Ukraińcom na terenach obsadzonych przez Niemców przed 1941». Chodzi więc o chronologię: kto zaczął pierwszy? Gdybyśmy chcieli ustalić chronologię bardzo ściśle, musielibyśmy cofnąć się głęboko w historię. Natomiast chronologia minionej wojny rozpoczyna się

wypadkami we wrześniu 1939 roku. Jeśli nasiona przyszłej rzezi zasadzone zostały w ciągu dwudziestolecia, to w czasie kampanii wrześniowej zbieraliśmy pierwsze żniwo tej «zbożnej» pracy ogrodniczej. W odpowiedzi na dywersję ukraińską w Samborszczyźnie i Drohobyckim, której ofiarą padli zresztą głównie maruderzy z rozbitych oddziałów, Polacy spalili parę wsi, między innymi bodajże przedmieście Mikołajowa. Było sporo zbrojnych napadów na polskie domy ziemiańskie. Pod Sokalem wycięto w pień obóz uciekinierów. Na Wołyniu zamordowano wielu osadników wraz z rodzinami. Doszło do bezmyślnych wybryków i ze strony polskiej. Oto jeden z przykładów. Jadący motocyklem oficer spotkał po drodze uciętą i wbitą na żerdź ogrodzenia głowę w kapitańskiej rogatywce, wszedł do pierwszej z brzegu chaty i na stół, przy którym siedziała rodzina ukraińska, rzucił odbezpieczony granat. Tak to się zaczynało.

Przeszedłem kampanię wrześniową w oddziale, który do końca zachował zwartość i trzymany był żelazną ręką dowódców. Wyłącznie dlatego nie doszło w paru wsiach do krwawych represyj. Żołnierze z mego szwadronu (akurat Poznaniacy) wchodzący do chałupy i proszący o sprzedaż żywności, nie wiedzieli czy i jakie krzywdy spotkały mieszkańców tej wsi w swoim czasie. Wiedzieli tylko, że «nie ma jaj», «nie ma masła» «nie ma mleka», choć wieś była zasobna jak rzadko i zamożność biła w oczy na każdym kroku. Jakby się zachowali w takim wypadku Niemcy lub sowieciarze? Ale był wyraźny rozkaz poprawnego traktowania ludności i żołnierze, zacinając zęby, wychodzili z chałup jak niepyszni. Dopiero moja interwencja w języku ukraińskim odniosła skutek. Zaraz znalazły się jaja, masło i mleko.

A po skończonej kampanii wrześniowej zaczęły szaleć emocje. Obecność Ukraińców wśród strażników więziennych na Pawiaku, pomocnicza służba ukraińska w zbrojnej ochronie zakładów w Stalowej Woli, inne objawy kolaboracji z Niemcami na terenie Gubernatorstwa - wszystko to, w połączeniu z wyolbrzymionymi zresztą wiadomościami o zachowaniu się Ukraińców podczas kampanii wrześniowej, wystarczyło, by rozhuścić nienawiść, której ofiarą padło, jak zgodnie z prawdą informuje Wreciona, tylu działaczy ukraińskich na Chełmszczyźnie.

W takich warunkach wzajemna rzeź w powszechnej skali był już tylko kwestią czasu. Cytowałem przy innej okazji słowa metropolity Szeptyckiego, który, nawołując do zaprzestania bratobójczej walki, mówił: «Gdy dżungla płonie, zwierzęta się nie gryzą». To zwierzęta - ale ludzie!... Wstyd powiedzieć, ale póty było względnie spokojnie, póki we Lwowie i na Wołyniu rządziło NKWD. I wina spada nie tyle na zwykłych prostych obywateli, co na ośrodki kierownicze. Znam Polkę, której męża zabili na jej oczach chłopcy gdzieś pod Kowlem. Jeszcze dziś, po tylu latach dostaje niemal hysterii na sam dźwięk ukraińskiego imienia. Ale od polityków wolno wymagać, by nie kierowali się wyłącznie emocjami. Z góry przyjmuję, że przy największych wysiłkach ze strony ośrodków politycznych i tak doszło by do krwawych wydarzeń. Ale na pewno nie w takich rozmiarach. No, cóż... w Paryżu, ani później w Londynie o zapobieżeniu zbliżającej się tragedii nie myślano, bo były ważniejsze sprawy. Ważniejsza była walka z cieniem Piłsudskiego, reforma hymnu narodowego polegająca na zamianie «Marsz, marsz, Dąbrowski» na «Marsz, marsz,

Sikorski», spory o konstytucję i prerogatywy prezydenta. Dołączył się automatyzm myślenia politycznego. Po cóż wchodzić w jakieś układy z Ukraińcami, po cóż szukać dróg porozumienia, skoro i tak wszystko idzie jak po maśle. Mamy pakt z Wielką Brytanią, jesteśmy sojusznikami Francji, zawarliśmy porozumienie z towarzyszem Majskim. «Córuś, córuś, czegoż ty jeszcze chcesz»? Przewidywania i inicjatywy nielicznych sprawiedliwych odrzucano z najwyższym lekceważeniem i pogardą. We «Wspomnieniach ukrajinofila», drukowanych przed kilku laty w «Wiadomościach», opowiedziałem o zupełnie operetkowej historii z ulotkami, zamówionymi u mnie przez słynną «Reginę». Chodziło o rodzaj proklamacji do ludności na terenach, okupowanych przez Sowiety, proklamacji, wzywającej Polaków i Ukraińców do zgody i współdziałania. Pośpiech był straszny, bo miano je rzucać z samolotów. Drukowały się te ulotki i drukowały aż do dnia ewakuacji z Libourne. Czy drukowały się jeszcze w Anglii, nie wiem, gdyż dzięki czujności hiszpańskiej Guardia Civil, patrolującej na szosie między Figueras i Geroną, oszczędziłem sobie widoków wojennego Londynu.

Przeciwdziałać skutecznie można tylko zawczasu. Gdy żywioły raz wystąpią z brzegów, żadna straż pożarna ich nie opanuje. Na wiosnę 1943 roku rozmawiałem o tych sprawach z młodym socjalistą, wysłanym z kraju do Londynu, a zatrzymanym przez siły wyższe na parę tygodni w Hiszpanii. «Nie byłem w Małopolsce Wschodniej - oświadczył mi - i nie wiem, czy jest jeszcze coś do zrobienia. Ale znając dobrze nastroje w kraju, mogę pana zapewnić, że wszelkie próby łagodzenia są już raczej spóźnione. A nawet sądzę, że ktoś, kto by wystąpił z taką inicjatywą, mógłby za nią drogo zapłacić». Po wojnie pewien oficer AK., który przeszło dwa lata trwał w walce w województwie Lwowskim, potwierdził w całej rozciągłości opinię owego emisariusza. «Może jeszcze w roku 1942, a i to wątpię. Ale już w rok później taki kandydat na mediatora najprawdopodobniej dostałby kulę od pierwszego lepszego Polaka...» Oto do czego doprowadza zatruty posiew nienawiści!

Wreciona pisze, że były próby porozumienia ze strony czynników miejscowych, ale najwidoczniej «od góry burezał głos Zagłoby» i uniemożliwiał rozwinięcie się dobrej inicjatywy na szerszej płaszczyźnie politycznej. Wreciona orientuje się lepiej, bo ja czerpię informacje z drugiej ręki, on zaś był świadkiem naocznym. Czy jednak ci Ukraińcy, którzy chcieli zapobiec rzezi, wyczerpali wszystkie środki? «Przed Janową Doliną był Dermań». Wiem ci ja dobrze, że w Janowej Dolinie stały oddziały polskie, które przedtem dobrze «pohulały» z ludnością ukraińską. Rozumiem, że chciano wziąć na nich zemstę, choć i one do zemsty miały powody. Ale kobiety i dzieci polskie, które poszły pod nóż, Dermania nie zawiniły. Ślepa nienawiść nie rozumuje. Czy jednak nie można było zapobiec właśnie t e j rzezi, skoro rozpaczliwa obrona Janowej Doliny trwała kilka długich dni. Wiedziano o toczącej się walce i w Równem i w Kostopolu. Kierownictwo OUN., które wydawało odezwy uspakajające, miało w tym wypadku okazję udowodni, że również potrafi opanować konkretną sytuację. Szkoda, że tego dowodu nie złożyło.

Zdżiczenie stało się powszechne. Nie lękano się śmierci, lękano się wpadnięcia żywcem w ręce

przeciwnika, bo to oznaczało śmierć bardzo powolną i urozmaiconą. Jak w Arizonie przed stu laty w walkach między białymi kolonistami i Apaczami. Amatorom nowej walki, nienawistnikom wszelkiego kalibru i «niezlomnym» z tej i tamtej strony opowiem taką pouczającą historię. Młody chłopiec traci we Lwowskim całą rodzinę. Ukraińcy zamordowali mu rodziców, brata, dwie nieletnie siostry. Wygląd trupów świadczył o zadawaniu tortur przed śmiercią. Młodzieniec zaciąga się do oddziału leśnego Armii Krajowej, wybija się szybko jako dzielny żołnierz i odznacza się skrajnym okrucieństwem. Któregoś dnia, już zaawansowany na podoficera, wpada z patrolem do mieszanej, polsko-ukraińskiej wsi, a raczej jej resztek, gdyż większość domów spłonęła podczas uprzednich walk. Mężczyzn prawie nie ma. Starcy, kobiety i dzieci. Akowcy wpadają do chałupy, w której ukryło się kilkanaście osób. «Ukraińcy na lewo, Polacy na prawo!» Kilka serii z automatu. Ale Polacy informują poniewczasie, że wśród zamordowanych znajduje się Polka z dzieckiem, która w przerażeniu, widząc zbrojnych ludzi, czy to nie dosłyszawszy dobrze o co chodzi, czy też sądząc, że do izby weszli Upowcy, i chcąc się ratować, przeszła na stronę ukraińską. Zabójca załamał się. Nazajutrz napisał pożegnalny list do swego dowódcy i odebrał sobie życie. Oto skutki ślepej zemsty, oto skutki dawania «odstraszających przykładów»!

Jakież jest wyjście z krwawego kręgu tej nienawiści, która potrafi rodzić podobne tragedie? Spierać się bez końca o to, kto pierwszy zaczął, kto bardziej zawinił, kto przelał więcej krwi? Czy może właśnie pokusić się o inne p i e r w s z e n s t w o, o pierwszeństwo wyciągniętej dłoni?

Dziesięć lat temu, siedząc w więzieniu, nie wiedząc, kiedy z niego wyjdę, i nie wiedząc prawie nic o tym, co dzieje się w kraju, ale przeczuwając nieomylnie dalszy rozwój wydarzeń,

pisałem te strofy:

*Więc nie powtarzaj słów nienawistnych w malignie,
zawołaj raczej:*

*- Ten z nas zwycięży, który się pierwszy wydzwignie
w Anielską Łaskę Przebaczень!*

*Może przez ową nienawiść poddaniśmy anathemom
przez strasznego Sędziego,
a ręka, która nas gniecie, i barbarzyńców przemoc
to tylko kary narzędzie.*

*I nie usłyszą nas Święci, gdy nie dochodzi do nich
w bluźnierstwie poczęty pacierz,
aż ci wypadnie pozew z ściśniętej dłoni
i szepniesz: Bracie!*

A jeśli takie słowa nie mają żadnego znaczenia wobec «doniosłych» racji politycznych, jeśli mają nadal rządzić żelazne prawa - my albo oni - zaś faktami dokonanymi kierować serie z automatów, oddawane do bezbronnych kobiet i dzieci, Dermanie i Janowe Doliny, to przynajmniej nie bądźmy hipokrytami, przynajmniej nie uzurpujmy sobie nazwy chrześcijan! To widać, Święty Jur i Katedra lwowska, kolegiata w Ołyce i Ławra Poczajowska stoją nadaremnie od tylu wieków na Ziemi Czerwieńsko-Wołyńskiej. I widać, mają rację barbarzyńcy ze Wschodu, gdy nasze kościoły i cerkwie zamieniają na kina i kluby komsomolskie!

NA PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

Czas nie stoi na miejscu. Gdy się zestawi doniosłe przemiany, jakie zaszły w świecie od zakończenia wojny, z dokonaniem naszych emigracji, wniosek nasuwa się tylko jeden: znowu pozwalamy dystansować się wydarzeniom. Sprawa porozumienia polsko-ukraińskiego nie posunęła się ani o jedną piędź naprzód, choć tyle już «natchnionego» atramentu wsiąkło w cierpliwy papier. Gesty pojednania - i tyle! Ach, piękne gesty! Nie brakowało ich przecież i w Polsce, gdy przed trumną petlurowskiego generała, zmarłego w Warszawie, szła kompania honorowa, gdy grupa polskich oficerów, zgłaszała się na audiencję do metropolity Szeptyckiego, by go przeproszać a niepoczytalne wyczyny «rewindykatorów». Ale gesty takie, nawet jeśli ratują honor jednostek, czy pewnych zespołów, burzy dziejowej nie odwrócą, kierunku nie nadadzą, wichrów w żagle, by niosły ku upragnionym wybrzeżom Itaki, nie nabiorą.

Wystarczy wskazać na fakt, że pismo, noszące wymowny i ze wszechmiar obowiązujący tytuł «Lwów i Wilno» (czynię ten zarzut mimo całego szacunku i uznania, jakie zawsze żywiłem dla Stanisława Mackiewicza), przez całe lata swego istnienia nie poruszyło żadnej z sąsiedzkich bolączek, nie przeprowadziło rewizji żadnego z anachronicznych poglądów w dziedzinie polityki wschodniej, nie wyszło naprzeciw jednemu choćby zagadnieniu z kręgu polsko-ukraińskich i polsko-białoruskich stosunków. I to samo trzeba powiedzieć o ludziach, skupionych pod znakiem kresowego pochodzenia i obrony ich mniejszej ojczyzny, których sentymenty patriotyczne nie podlegają zakwestionowaniu, ale którym zabrakło twórczej myśli ożywiającej każde działanie. Przedsiönek piekła jest wybrukowany patriotycznymi sentymentami, ale do nieba można się dostać jedynie na skrzydłach jasnej myśli i świadomego czynu.

Po jednej i drugiej stronie jest mnóstwo ludzi, organicznie niezdolnych do otrząśnięcia się z urazów i zapiekłych wspomnień. Ci aż do śmierci będą trwali na starych stanowiskach, zapatrzeni w upiory przeszłości. Będą grać rolę «bohaterów» i «ojców ojczyzny», składać huczne deklaracje, potrząsać woreczkiem żółciowym z braku lepszego sztandaru, zachować się jak pijany parobek na weselu, co to i rywala nożem porznie i do kryminału zawędruje, świstać w puste orzechy i puszczać łódeczki z papieru na jeszcze krwią dymiące kałuże. Napoleony z szablami z połączanego łuczywa, burmistrze miast, dawno pobitych przez zarazę, zakatarzeni buchalterzy prawdziwych i urojonych

krzywd, szamani, tańczący dokoła parafialnych totemów, obleśni starcy, nadaremnie wdzięczący się do dziewiczej Pallady, manekiny, wypchane trocinami frazesów i zaklęć!

Od siedmiu lat nie słabnie prasowa kampania nienawiści. Co gorzej, okresami przybiera na natężeniu. Nie jest to zarzut, odnoszący się do wszystkich, ale na pewno do bardzo wielu. Są pisma, są publicyści, którzy sprawiają takie wrażenie, jakby im specjalnie zależało na tym, by ognisko tej nienawiści nigdy nie zagasło. Niechże grzeją swe wychłodłe serca przy jego płomieniu. Ale nigdy nie uwierzę, aby poza nimi nie znalazły się w szeregach naszych emigracyj ludzie skłonni do patrzenia w przyszłość, mający dość odwagi cywilnej, by nie dać się sterroryzować własnemu środowisku, i świadomi niebezpieczeństw, jakie znów nam wyjdą naprzeciw, jeśli będziemy trwali przy starym uporze i wrogości.

Siedem lat emigracji zmarnowaliśmy właściwie bez reszty. «Ustąp się z drogi, bo to moje!» - oto jedyne słowa, jakie słyszy się po obydwu stronach barykady. Ledwie zmyli z siebie bojowy kurz i krew, ledwie wyrwali się z dipisowskich baraków, ledwie uchwycili w ręce kromkę emigranckiego chleba, a już im się zachciewa nowej walki, za którą nieuchronnie wlecze się cień nowej klęski, a w najlepszym razie kilkudniowego zwycięstwa.

A czas leci. Nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć, kiedy nowy huragan zerwie się nad światem. Może mamy jeszcze przed sobą długie lata. Ale na wzajemne rozmowy, na znalezienie przyszłego modus vivendi, na wypracowanie form sąsiedzkiego współżycia, na prowizoryczne choćby porozumienie się zostało już nam bardzo niewiele czasu. To już naprawdę zbliża się północ, naprawdę mamy pięć minut na zakreślenie święconą kredą magicznego koła, zanim znów zlecą się czarownice i zaczną podnosić ciężkie powieki hoholewskiemu Wijowi, by nas uderzył ślepiami śmiertelnego przerażenia.

Nie jestem optymistą. Zdaję sobie dobrze sprawę ze wszystkich trudności, piętrzących się na proponowanej drodze. A jednak trzeba na nią wejść, abyśmy nie zachowali się ponownie jak skorpiony, zamknięte w szklanym słoju, które, miast szukać sposobu na odzyskanie wolności, grożą sobie zatrutymi kolcami. Mówił mi kiedyś młody ukraiński publicysta, siedząc w tawernie przy zycznym hiszpańskim winie: «Tak, my tu rozmawiamy przyjaźnie, czujemy się dobrze ze sobą, zgadzamy się w wielu sprawach, ale myślę, że za kilka lat spotkamy się na moście w Przemyślu i będziemy strzelać do siebie.» Może to i prawda. A przecież, i takie możliwości biorąc pod uwagę, każdy z nas, noszący poczucie odpowiedzialności wobec Boga i swego narodu, winien uczynić wszystko by przynajmniej w drobnej części przyczynić się do rozładowania wzajemnej nienawiści. Jeśli fatalizm historyczny ciąży nad nami do tego stopnia, że do ugody nie dojdzie, że pozostaniemy wrogami, jeśli mamy w przyszłości spotkać się nie na odległość przyjaźni wyciągniętej dłoni, ale na odległość miecza, to niech-że to będzie naprawdę miecz, naprawdę rycerska szpada, a nie zbójcecki nóż i siekiera!

Dzieli nas morze krwi i wieki zacieklej walki. Ale czy nic nas nie łączy? Czyż nie ma w

przyszłości i takich wydarzeń, takich zjawisk, o które mógłby się zahaczyć wąty bluszcz przyszłej przyjaźni i z czasem, w przychylniejszych warunkach rozrósć się w potężne drzewo? A nawet i w latach ostatnich. Oto cmentarz na Monte-Cassino. Śpią tam snem wiecznym pod ramionami tego samego krzyża obok Polaków również i Ukraińcy. Czy nikt z pielgrzymów do monte-kassyńskiego pobojuwiska tego nie zauważył? Więc jeśli żywych, jeśli żywych nie stać na wyrwanie się z objęć przedwiecznych widm, niech chociaż ten żołnierski cmentarz zastąpi drogę powracającym upiorom przeszłości!

Cóż... prorokowanie na puszczy nigdy nie było zajęciem łatwym, ani przyjemnym. Gdy się jednak wybrało swój sztandar, trzeba przy nim trwać, nawet gdyby wojsko miało się składać wyłącznie z chorążego. Gdy nie ma szans na zwycięstwo, zawsze pozostaje duma, płynąca z przeświadczenia, że się swej idei broniło nawet w sytuacji beznadziejnej. «Moja walka jest mojem zwycięstwem, moja klęska mojej prawdzie niech świadczy». Donkichoteria? Być może... Ale wiatraki, o które wyszczerbił swą kopię rycerz z La Manczy, dawno rozsypały się w proch, a pomnik błędnego wariata po dziś dzień stoi na madryckiej Plaza de Espana. Gdy przepiszę na czysto te ostatnie słowa, pójde posiedzieć przy nim na ławeczce i popatrzeć na jego głupio natchnioną twarz. Może mi poradzi, jak ukraińskich «rezunów» i lackich «pacyfikatorów» namówić, by wstąpili do rycerskiego zakonu.

POST SCRIPTUM RYMEM

*Jak ryba, w piach rzucona, kiedy w dyszących skrzelach
czarna krew się przesącza, tak ja, nassawszy się trójziela
zatrutego, przed mrocznym skarżę się obliczem
nieublaganym sądów i twardych kondemnat.
Natarczywy jest głos mój. Mowa nadaremna
i krtać zaschnięta, którą w pustkę krzyczę.*

*Tylko echo.
dalekie echo w mej ojczyźnie głuchej.
Któryś wiódł mnie w tę głuszę,
raz jeszcze wysłuchaj!*

*I
Oto się głos wzruszony na półsłowie zaciął
i ciepłe dłonie słońca muskają po twarzy.
Przed wieczorem, w ogrodzie, w gromadzie przyjaciół
dobrze o sprawach minionych pogwarzyć,*

*dobrze odpędzić natrętną tęsknotę
wspomnieniem chwili, której dawno nie ma,
a wdzięczne rymy, prześwielone złotem,
nakładają się same w najczulsze poema.*

*Lecz nie poto-m wziął pióro, by śniedzią elegij
zarosły słowa rwące się do bitwy.
Któryś mnie wywiódł przed pierwsze szeregi
i nauczyłeś żołnierskiej modlitwy,
do ciebie krzyczę, mroczny wywoływacz
umarłych duchów, zapomnianych wieków:
- W rwącej zawiei, Chrzcicielu, przybywaj,
daj nam znak Boga i zbudź go w człowieku!*

*Ochraniałeś nas w wojennych okazjach,
zbliżałeś chwile szczęścia ku gorzkim zgryzotom.
Przed Twoją twarzą upadała Azja,
wstecz odrzucana starorzymską cnotą.
Usłysz i dziś nas, kiedy moc sprzedajna
bluźni Ci co dzień, w błyskawicach stań się,
porwij wichurę i oczyść i daj nam
raz jeszcze walczyć w Twoim ordynansie.*

*W imię potrzeby rycerskiej i męstwa
odpuść nikczemnym bratobójczym czynom,
wielkim tchem odkupienia, płomieniem zwycięstwa
wstań ponad Polszczyzną i nad Ukrainą,
objaw się w chmurach łyskającą twarzą,
uchwyć dłonią za włosy wylekłe i dyktuj.
Niech nas nawiedzają i ogniem porażą
złote litery Twojego werdyktu!*

*Z ręką na szabli, z modlitwą na wargach
czekają jasne duchy na ostatnie larum,
ufne, że wicher, co dziejami targa,
nie nadaremnie wzywa ku sztandarom
i manifesty, z których wiek ich długi startł już
bukwy, złożone mądrością najstarszą,
objawia światu i w wojenny diariusz*

wpisuje datę pierwszego wymarszu.

G ł o s y w o ł a j ą :

*Ziemio leśna i wodna, zagubiona wśród pól,
płynna od mleka i miodu,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
jedne na szlaku czumackim
były nam biały chleb i sól
i jedna od Wschodu do Zachodu
ojczysta Rzeczpospolita.*

*Przelatywały niżowe wiatry przez Perejasław,
krążyły orły nad Beresteczkiem i Hadziaczem.
Zapaliła się wielka zorza wolności
i krwawo zgasła,
nie tak nocką ciemną zachmurzona,
jak lamentem ludzkim i płaczem.*

*Na nic nie zda się stepowa ukraińska uroda,
jeden dzień się przepalił,
do drugiego już śmierć się uśmiecha...
Oj, popiła się szlachta i kozactwo
po slobodach i grodach,
popili się, na ziemię popadali,
zaplątani w kainowych grzechach.*

*Naleciała horda mongolska,
jak szarańcza obsiadła,
nadciągnął chan tatarski, świątynie złupił,
poszedł jęk i rozpacz po narodzie,
zrównały się w niewoli Ukraina i Polska
i jak głupi
teraz radzą po szkodzie.*

*Ziemio leśna i wodna, zagubiona wśród pól, złota od słońca zachodów,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
czas podzielić raz jeszcze biały chleb i miód i sól,
nim cię znowu przemierzają zdepczą
zbliżających się jeźdźców kopyta.*

*Były znaki na starych kurhanach,
tętent niósł się po Rosi,
od samego, od białego rana
zajęczały w niebie stada żorawi,
już nad stepem z północy czarna mgła się podnosi
i Zbawiciel na krzyżu
krwią najświętszą z ran pięciorga krwawi.*

*Którzy w piśmie uczeni, niech dadzą Słowo,
niechaj piszą nowe hramoty -
lud je przyjmie, uzna i wysłucha,
i z kozacką chorągwią malinową
znowu zbrata się sztandar złoty
w imię
O j c a i S y n a i D u c h a.*

II.

*Przebrzmiały słowa, grzmiące na pustyni,
i mroczny step odkrzyknął się głuchym tętentem.
Jedni śmieli się głośno po izbach, a inni
krzywili usta niechętnie wydęte.
Trzykroć zawołał gniewny głos i trzykroć
pustka odpowiedziała i znów było cicho,
jak gdyby już do głosu Bożych trąb przywykło
urągające i pyszne Jeryho.*

*Tak wiatr przerzuca karty cesarskim edyktom,
a nie chce oddać chwały swemu Bogu.
Zmilknie złamane pióro i żelazny liktor
stopę nieprzeblaganą zatrzyma na progu.
Gwizd spali usta biegnącym gawroszom,
tłum uniesie bożyszczka, z pozłacanej gliny
ulepione niezdarnie, i konie się spłoszą,
tratując w tłoku wczorajsze wawrzyny.*

*Jeszcze chcieliśmy śpiewać krzyczącej gawiedzi,
biec przez ulice z innymi na równi,
lecz słowa nam zgłuszyło larmo pustej miedzi
głoszące chwałę jednodniowych mównic;*

*jeszcze nas nawiedziły duchów gniewne posty,
rozpytując się mową ciemną i zawilą...
Wybiegliśmy przed domy, ręce się uniosły
do werbla, ale obok nikogo nie było.*

*I oto się od wieków powtarza to samo:
wciąż wróżymy, natchnieni i śmieszni prorocy,
szepczemy słowa zesłowiecznych hramot,
manifestów spóźnionych, a kiedy dłoń nocy
kładzie się na daremnych mrocznych zakłęciach,
boleśnie bardzo wołać wyteżonym placom,
że była zdobycz i sława do wzięcia,
i pominięto je i już nie wróca.*

III.

*Kończy się gorzka pieśń, nim ramię ją przedłuży,
i czeka synów księga, co była testamentem.
Jeszcze ostatnie słowa, płomieniem złotym zdjęte,
jak ptactwo na spotkanie nadchodzącej burzy
wzlatują i daleki odzywa się chór.*

*Mrok podstępnie bliżej, szumiący jak bór,
i chłód wieczorny idzie, lecz wargi nie stygną.
Wczoraj jeszcze gorączką, dzisiaj już maligną
porwane mroczne nuty jednostajnych wyznań.*

*O, nieprzekupna durno tego fanatyzmu,
co płomień miast powietrza wciąga w chore płuca
i w krzyk natrętny powszedniego obłąkania
zamienia ludzkie życie.*

*Jak ptak, co porzuca
rodzinną ciszę gniazda i wiatrom nie wzbrania
podsadzać się pod skrzydła Smutkiem ociężałe,
tak pieśń...*

*Który-żeś poznał niepodjętą chwałę,
uniwersał mogilny, zbutwiały depozyt
i ślepo patrzysz w oczy otworzone grozy,
zaklinaczu przyszłości, spadkobierco prochów!*

*Przyschnie ręka znużona do drzewa posochu,
przepędzi własne miasto i wyśmieje uczeń.
Pył źrenice zasypie, deszcz ciało oplucze,
boleśnie szarpną włosem przydrożne gałęzie...*

*Będiesz szedł, nocnych marzeń wiekuisty więzień,
i głosił swoją prawdę.
A jest w tym najwyższa
duma, gdy głos odrzuca obojętna cisza
i śmiech szydarczy wpada w pieśni interwale
i więcej mrocznym tłumom nad twą mękę znaczy.*

*Jeno Anioł unosi ku niebieskiej chwale
pismo bez czytelników i śpiew bez słuchaczy.*